Nr. 4. Warszawa, dnia 13 (25) Stycznia 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Prosimy pp. Autorów, których niezużytkowane rękopisy zachowujemy do zwrotu, ażeby je odebrali przed 1-ym marca, gdyż po tej dacie będą zniszczone.

POLITYKA.

ROK 1895.

III.

Rok ubiegły zastał w Anglii u steru stronnictwo liberalne, ale już bez Gladstone'a, zmęczonego latami. Nieudolny Rosebery wygłaszał programaty dawne, na dawne jednak czyny czekać kazał. Trzy najważniejsze: odpaństwowienie kościoła anglikańskiego w Walii, nowe urządzenie dzierżaw w Irlandyi i reforma Izby wyższej zwycięzka opozycya wypisała na jego nagrobku, gdy go już pod ziemię złożyła. Reformy nie śmiało stronnictwo liberalne nawet w bill przyoblec, *hume-rulle* u wcale nie dotknęło. Trzeszczący i zapadający się gabinet nareszcie runął wskutek niewinnej mocyi Brodricka o niedostateczne zaopatrzenie magazynów w amunicyą, d. 21 czerwca. W osiem dni później królowa miała już nowych ministrów, prowadzonych przez Salisbury'ego, z wybitniejszych Chamberlaina, Balfoura, Devonishire'a, Goschena (numer 27). Najpierwszym ich czynem było rozwiązanie Izby niższej. Nowe wybory, w lipcu, dały ogromną większość zachowawcom, złączonym z odstępcami liberalnymi (numer 29). Na początku sierpnia zasiadał już nowy parlament.

Salisbury wzmocnił zaraz działanie przeciw Turcyi o Armenię, zamyślał o demonstracyi flot na własną rękę, chciał rzeczywiście coś zrobić: usiłowania te przecież zmarniały we wspólnej akcyi w Stambule. Mowa lorda-mayora d. 9 listopada była najjaskrawszym objawem gniewu na Turcyę z powodu Armenii (numer 46). Gwałty i rzezie w Chinach wywołały w sierpniu 9 okrętów angielskich na Jang-tse-kiang. Zadośćuczynienie za morderstwa w Kuczeng było owocem tej energii. Zawarty przez Rosebery'ego układ z Rosyą o Pamir i części sąsiednich ziem: Badakszan, Wachan, Sungan za nowego rządu nabrał mocy prawnej, nigdzie go jednak dotychczas nie ogłoszono. Urządzenie stosunków w pobliskim Czytralu, po wyprawie przedsięwziętej jeszcze przed 21 czerwca, było zadaniem nowego już gabinetu. Nieporozumienia o Sudan z Francyą, w maju rozognione, ostygły, ale trwałe, jakby organiczne przeciwieństwo interesów w Afryce nie znikło: Egipt i Kongo podsycać je będą. Nieporozumienia o Syam wyczekiwały jeszcze ostatecznego układu.

Przez cały rok ubiegły toczyła Anglia proces dyplomatyczny o wschodnie granice Venezueli, pomiędzy Orinoco a Esequibo. Z wejściem Salisbury'ego wybitnie już wystąpiła opieka Stanów Zjednoczonych Am. Półn. nad krzywdzoną przez Albion federacyą południowo-amerykańską. Salisbury opiekuńczość tę lekceważył, aż zniecierpliwiony Cleveland d. 17 grudnia wydał orędzie o doktrynie Monroe'go i komisyi granicznej z ramienia Stanów Zjednoczonych. Uncle Sam jednak nie miał tak złych względem Johna Bulla zamiarów. Nowy rok obejmował już dziedzictwo rozsądku i cierpliwości. Polityki nie robi się czczemi słowami. Zawiodło nawet oczekiwanie, że prezydent wielkiej rzeczypospolitej przypomni sobie kongres pan-amerykański i w obronie praw Venezueli zawezwie Amerykę całą do solidarnego—choćby tylko stwierdzenia z jednej strony praw, z drugiej gwałtu.

We Francyi rok 1895 tem był podobny do swoich poprzedników, że musiał babrać się po dawnemu we wszystkich cuchnących dołach nieuczciwości, jako choroby już społecznej. W samym początku roku zesłano do N. Kaledonii oficera, urzędnika w ministeryum wojny, Dreyfusa, za wydanie tajemnic wojskowych Włochom, a pośrednio Niemcom. Nadużycia na kolei Południowej odsłoniły dawniejszą jeszcze sprawę wielkich względności ministeryalnych dla szachrajów łupiących i grabiących pod tarczą użyteczności publicznej. Niezręczność i nieszczęście p. Dupuis, pierwszego ministra, ściągnęła na samego p. Casimir-Perier'a, następcę zamordowanego w czerwcu 1894 Carnota, konieczność podania się do dymisyi, przy orędziu, które przez swój nierozum polityczny pozostanie aktem słynnym w historyi. Zwołany do Wersalu d. 16 stycznia kongres nazajutrz wybrał jednego z mniejszych wielkich ludzi, p. Felixa Faure'a, przemysłowca niegdyś, a współcześnie ministra marynarki. Jestto *self-made man* z głową na karku, nie oportunista, ale i nie żaden też wyższy talent lub energia.

Przez 10 dni Francya była bez ministrów, a gdy wreszcie d. 26 stycznia stanął gabinet Ribota, zbrakło w nim ministrów wojny i marynarki. W Izbie, jeśli nie brudy moralne, nie wichrzenia monarchistów, to oportunistyczne szalbierstwo powagi utrzymywało ciągły niepokój. Po skonie Canroberta nie wahano się apoteozować Drugiego Grudnia. Nieustające bezrobocia odbijały się echem w przybytku prawodawców. Święcenie Strasznego Roku przez niemców rozpalało krew, wyrzucało skargi na niedostateczną zbrojność lądową i morską. Zamęt w umysłach objawił się nawet lamentem na hyperprodukcyę oświaty, wiedzy i nauki. Prądy antisemickie, zasilane rzeczywistością, wystąpiły w utyskiwaniach i podjazdach na Żydów. A nad tem wszystkiem panowała—owa kolej Południowa, w której tkwi-

ła nowa Panama—nowe zdzierstwa i przekupstwa.

Dnia 30 października radykalni Rouanet i Berry wystąpili z wnioskiem, aby senatorom, ani posłom, nie wolno było należeć do żadnych finansówek, przedsiębiorstw żyjących akcyą, kapitałem, wartością giełdową. Zaskoczony p. Ribot stracił kontenans i odrazu się wywrócił. P. Faure powołał radykalnego Bourgeois, który ostatecznie już d. 3 listopada zbudował mu nowy gabinet (nr. 46). Nazajutrz program demokratyczny, z podatkiem postępowym i organizacyą stowarzyszeń, obejmującą wszystkie wyznania religijne, wywołał niechęć oportunistów. Wróżono nowemu ministeryum zaledwie miesiąc życia.

Nowi ministrowie szybko uwinęli się z owym zakazem. Izba dla przyzwoitości samej nie mogła mu uświęcenia prawodawczego odmówić. Z czasów Panamy pozostały jeszcze nieuregulowane rachunki oportunizmu, który jednego z przestępców, Artona, a właściwie Arona, umiał ścigać po Europie tak, żeby go nigdy nie złapać. P. Bourgeois kazał wyśledzić kryjówkę łotra; znaleziono go w Londynie. Kryminalista, wyrokiem już skazany, korzystając z gościnności angielskiej, skorzystał i z formalizmu i przez cały grudzień systematycznie wyśliżgiwał się z rąk francuskich. Ujęcie go ważnem będzie nietylko dla sprawiedliwości, ale i dla polityki: przez niego lały się pieniądze Reinacha w kieszenie posłów, senatorów, dziennikarzy; miał on niegdyś książeczkę czekową ze 104 nazwiskami, a w Peszcie uciekając pozostawił całe archiwum. Oportuniści sarkają na tę radykalną sprawiedliwość, a *Journal des Débats* sam ten poryw Izby, od którego przewrócił się Ribot wraz ze swymi kolegami, nazwał „wścieklizną cnoty.“ Dla oportunizmu wszystko oportunistycznem być powinno, nawet uczciwość.

Przygotowywana w zimie z r. 1894 na 5 wyprawa madagaskarska poszła szybko i składnie — lecz tylko pod względem wojskowym; służba zdrowia była w niej opłakana. Pochód pod wodzą gen. Duchesne trwał od kwietnia do września. D. 30 t. m. po dwugodzinnym boju zajął Duchesne stolicę Antananarywo, a nazajutrz podpisała królowa Ranawalo traktat, przykręcający śruby protektoratu z r. 1885 aż do ostatecznego krańca podboju. Wyprawa kosztowała 80 milionów. Wojsko jeszcze stoi.

We Włoszech r. 1895 zaczął się wśród walk wewnętrznych, bezkrwawych wprawdzie, ale wielce gorszących. Opozycya radykalna, przechylająca się ku Francyi, usiłowała strącić Crispiego — błotem, którem go obryzgiwała. W styczniu już Izba zamieniła się w taką karczmę, że Crispi wyjednał u króla jej odroczenie, w marcu postanowił ją rozwiązać, w kwietniu miał dekret, a w maju już Włochy wybierały sobie nowych przedstawicieli. W czerwcu zebrała się nowa Izba z 336 kryspijczyków, 115 przeciwników i 17 dzikich — i zaczęła na nowo robotę swej poprzedniczki. Sceny czerwcowe wejdą do historyi sławnych bójek jako jedyne w swoim rodzaju.

We wrześniu naród obchodził 25-lecie „Roma la Capitale“—pamiątkę wtargnienia Cadorny przez Porta Pia do Rzymu d. 20 września 1870 r. Odsłonięto przytem pomniki: Garibaldiego, Cairolich, Cavoura, Minghettego. Crispi miał wielką mowę o papiestwie, przetworzonem przez samą utratę władzy świeckiej.

W Erytrei d. 7 grudnia Abisyńczycy zaskoczyli Włochów i Sudańczyków pod Amba - Aladży i zgotowali im pogrom. Kilkuset padło — reszta uciekła. Włosi poutracali pozycye, pozdobywane w październiku i w końcu roku oczekiwali na posiłki z kraju. Menelik prowadził podobno 60—90 tysięcy wojska.

W Hiszpanii były trzy ważniejsze sprawy: w lutym powstanie na Kubie, w marcu upadek gabinetu Sagasty, wreszcie złodziejstwa w municypalności madryckiej, dawniejszej jeszcze edycyi, ale w nowej oprawie. W kwietniu Martinez Campos objął dowództwo na Kubie.

W lipcu udało się powstańcom pod Bayamo osaczyć samego naczelnego wodza. We wrześniu Maceo pobił gen. Navarro w otwartym boju. Nowe zwycięstwo w październiku podniosło ducha. W grudniu oddziały powstańcze ukazały się już w okolicach Hawany. Posiłki dla Hiszpanów szły ciągle, osłabiając niezbyt zasobny w wojsko kraj macierzysty. Dzienniki podały siłę armii walczącej na 120 tysięcy.

Przypomniane tu wypadki były najważniejszymi w roku ubiegłym.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz Wilhelm w rocznicę ogłoszenia cesarstwa w Białej sali zamku królewskiego w Berlinie wygłosił mowę okolicznościową, w której wspomniał o Bismarcku a wezwał do jedności, po mowie zaś złożył na 200-letni sztandar przysięgę, że bronić będzie Niemiec pod hasłem: „Jedno państwo, jeden lud, jeden Bóg.“ Na pamiątkę ustanowił umyślny order „Wilhelma“ dla wyższych zasług, prócz tego rozdał mnóstwo orderów już dawniejszych. Skazani na 150 marek lub 6 tygodni kary dostali amnestyę, armia i marynarka awanse. Bismarcka portret ma odtąd wisieć w kanclerstwie, a list uprzejmy dziękuje mu za zasługi dla ojczyzny. Socyaliści znowu zgrzytnęli: *Vorwärts* ogłosił awanse na lądzie już d. 17 b. m., tak, iż w samo święto *Reichsanzeiger* przyniósł tylko sążnistą listę awansów na morzu. Zarządzono śledztwo.

D. 16 wniosek Kanitza o monopol zbożowy dostał się pod obrady sejmu niemieckiego. Zbijali go ministrowie Marschall i Hammerstein-Loxten, gromił surowo Bennigsen od narodowców, oparł się mu lekko książę Radziwiłł w imieniu Polaków. Hammerstein obiecał lepsze czasy i lepsze też ceny i wskazał drogę małych środków zaradczych. Monopol za odrzucony już uważać można. Ks. Hohenlohe złożył sejmowi projekt nowego kodeksu cywilnego dla Niemiec.

Sejm pruski zagaił cesarz Wilhelm d. 15 b. m. Finanse poprawiły się. Rząd da zachętę do magazynów zbożowych, zaprowadzi „Izby skarbowe,“ podwyższyć pragnie pensye nauczycieli elementarnych.

Urywek z dziennika.

Błąkałem się nie pamiętam jak długo i po jakich ulicach, gdy nagle na placu wyrosła przede mną fasada świątyni. Doleciał mię głos organu. Postąpiłem jeszcze parę kroków i znalazłem się przed otwartemi drzwiami kościoła. Ze słonecznego światła wnętrze wydawało się mrocznem. Z daleka ołtarz jaśniał sznurami świateł, tonący niemal w ogromnem mnóstwie kwiatów świeżych i zieleni. Tłum wypełniał świątynię, ponad nim organ poważnymi tonami brzmiał śród wielkiej ciszy. Pociągnęło mię nieprzeparcie pod te łukowate sklepienie. Chłód, cisza, powaga, pełna majestatu. Nie jestem wierzący i kościół rzadko kiedy zobaczy mię w swych murach. Gdy wchodzę jednak, ze szczerą korności odkrywam głowę. Ten przybytek zbiorowych próśb, gromadnego bólu, to miejsce, gdzie myśl ludzka wyżej ponad ziemskie padoły w rzewny kraj pięknych porywów ulata, przejmuje mię zawsze, jak każda abstrakcya wzniosła, czcią i szacunkiem. Dziś łączyła się do tych uczuć potrzeba ukołysania wzburzonych myśli tą ciszą i podniosłością serc. Stanąłem za jakimś filarem i wkrótce zastygłem tak, jakby mię widok modlących się tłumów zahypnotyzował. Grano, śpiewano dokoła mnie; tłum klękał i podnosił się. Przede mną, na kazalnicy, błysnęła biała komża księdza; w ciszy popłynął potok jakichś słów. Nie zdawałem sobie sprawy, co się ze mną dzieje, czułem tylko, że znajduję się wśród tych, którzy Boga szukają i było mi swojsko.

Po pewnym czasie jednak świat zewnętrzny zaczął kołatać do mych zmysłów. Zbudziły mię rozbrzmiewające z ambony słowa. Pomimo napuszonych frazesów i przesadnej deklamacyi, treść nauki była tak czysta i tak wzniosła! Miłość i przebaczenie — cóż więcej znaleźć można nad te dwa wyrazy, pełne prostoty, któreby oczyściły lepiej, podniosły wyżej biedne serca człowiecze? Ja w tej chwili bardziej, niż kiedy i może więcej, niż ktokolwiek, potrzebowałem wspomnieniem tych pojęć rozniecić dawne uczucia. Słuchałem więc, i chociaż nic nowego usłyszeć nie spodziewałem się, słuchałem z przejęciem, jak dzieci starej, pięknej baśni, na pamięć niemal znanej.

Po kilku chwilach uwaga moja przeniosła się na obecnych.

Oto przede mną w ławkach jakaś staruszka z miłą, jasną twarzą taka zamodlona, że nawet nauka nie przerwała jej rozmowy z Bogiem. Opodal starzec poważny, całkiem zatopiony w sobie. Splecione ręce oparł na pozłacanej gałce swej laski i zadumał się tak głęboko, tak poważnie, jakby z własnem sumieniem czynił obrachunek i skrucha tryska z nawpół spuszczonych oczu; widać ją na szlachetnem sklepieniu obnażonego czoła. Przesuwam oczy dalej i spotykam dwoje źrenic cudnych, jak anioły rozmodlone, wzniesionych ku niebu. Dziewczę młode, o liniach profilu przedziwnie czystych, drobnemi ustami szepce modlitwę. Twarzyczka rozjaśniona jakiemś wniebowzięciem, czemś tak nieskończenie duchowem, że stają mi w pamięci modlące się serafiny Karla Dolce. Widok tych ludzi sprawia we mnie dziwnie rzewne wzruszenie i pragnę najgoręcej zajrzeć w głąb ich myśli. Czuję, że ta chhwila pogodzi mię ze światem, że dopomoże wskrzesić w mem sercu te piękne czucia, jakich wyrazy rozbrzmiewają jeszcze nad moją głową. Staję się cały słuchem i jakoż po chwili dolatuje mię szept wyraźny, chociaż cichy.

Staruszka. Gdyby tylko, broń Boże, Ro-

Sprawy Transwalu schodzą zwolna z oczu świata, aby się rozegrać pomiędzy Boerami a Anglią, jak tego właśnie Anglia pragnęła. Z telegramu cesarza Wilhelma dymu już nawet niema. Balfour, pierwszy lord skarbu, w mowie w Manchester d. 15 b. m. uważa Transwal za zupełnie w stosunkach zewnętrznych ujarzmiony, a w wewnętrznych za moralnie zobowiązany do ulegania wpływom angielskim. Przewidywać można nacisk w Pretoryi dla wyjednania praw obywatelstwa dla owych właśnie rokoszan Johannesburskich i wogóle „uitlanderów“ (zakrajowców, nie-obywateli), zamieszkujących południowo-zachodnią połać rzeczypospolitej, t. zw. Rand. Rokoszan trzymają jeszcze Boerowie w więzieniu śledczem, a jest ich kilkudziesięciu wybitniejszych. Awanturników Jamesona wraz z nim samym odstawiono do Przylądka, skąd ma ich zabrać rząd angielski — na sąd, właściwie na owacye polityczne.

Zbroją się Boerzy, niepewni przyszłości, zbroją i Anglicy, pewni swobody działań. Rząd angielski złożył eskadrę lotną z 6 okrętów i posyła ją do Afryki; trzy krzyżowce zawinęły już do Delagoa. Volksraad transwalski pomnożył obsługę swej artyleryi o 400 ludzi; 12,000 walecznych uruchomiono, około 15,000 jeszcze stanie w potrzebie. Wojny nie będzie, bo w Europie nikt o prawa Transwalu się nie upomni, nawet gdyby Anglia chciała rozedrzeć traktat, na który się teraz powołuje. Udział Cecila Rhodes'a, pierwszego ministra na Przylądku, był w napaści Jamesona tak jawnym, że p. Chamberlain musiał mu dać dymisyę: następcą polityka pięści jest niejaki Spriggs. Minister kolonij dostał od kolegów *carte blanche* do działania.

Wyprawa na Aszantyów zbliża się ku końcowi. Anglicy zajmą Kumassi i zaprowadzą swój protektorat.

Z Francyą spór o Syam zakończył się d. 16 b. m. układem podpisanym w Paryżu. Granica idzie Me-kongiem. Pasy neutralne zaniechane. Kwestya teraz, kto i jak prędko porwie złote jabłko indochińskie.

We Francyi mowa Bourgeois w Lugdunie (d. 12 b. m.) wywołała szemrania oportunistów: niepodobał im się podatek postępowy, niepodobało podzielenie ludu wichrzącego się politycznie na monarchistów, republikanów demokratów i republikanów-zachowawców, tj. ich samych, oportunistów. Pierwszy raz minister francuski wspomniał tak wyraźnie i uroczyście o przymierzu (*alliance*) z Rosyą.

Wybory noworoczne w Izbie deputowanych utrzymały u steru radykalnego Brissona, a w liczbie 4 vice-prezesów wprowadziły jednego jeszcze radykalistę, Sarrien'a. Pierwszym vice-prezesem jest oportunista Poincaré. W senacie choroba zmusiła Challemel Lacoura do ustąpienia prezesem został Loubet, b. minister.

W Austryi ważnem jest usunięcie Thuna z namiestnictwa w Pradze. Sprawa podziału na dwie kurye narodowe (wniosek Russa) jeszcze za mgłą. Młodoczesi podziałowi niechętni. Cesarz ustanowił ministeryum komunikacyi i zamianował ministrem feldm. porucz. Guttenberga. Biliński tymczasowe funkcye ministra galicyjskiego zdał już na stałe p. Rittnerowi — z ministeryum oświaty.

Ks. Koburski wyjechał z kraju w interesach familijnych — nie do Rzymu, ale do Paryża. Stamtąd kołace do Watykanu o dyspensę dla syna swego Borysa. Stoiłow grozi dymisyą, jeżeli następca tronu nie zmieni religii do końca stycznia.

Martinez Campos ma dymisyę z Kuby. Na gen. kapitana jedzie Weyler. Ks. Tetuanu usunął się ze spraw zagranicznych. Canovas zamianował Elduayena. Powstanie słabnie.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA

T. T. Jeż: *Sama*, powieść. Warszawa, nakład T. Paprockiego i S-ki 1896, str. 367.

Każda z dzisiejszych naszych powieści, ukazując się w wydaniu książkowem, wygląda staro i niemal zwiędle. Czytało się to już gdzieś, kiedyś słyszało się o tem coś od kogoś. Rzecz prosta: był przed książką odcinek, który od niechcenia się przerzuciło przed kilku miesiącami, z mniej więcej stanowczem postanowieniem powrócenia do przedmiotu, gdy się całość złoży. A gdy nareszcie całość ta istotnie się złożyła, wyprzedzona odgłosami rozmów lub tylko wzmianek pobieżnych—wątek jej już spłowiał, treść spowszedniała, budynek porysował się w pręgi i pasma, znane jak wilgotne plamy mieszkania, z któregośmy się onegdaj wynieśli. Stracił na tem przedewszystkiem dziennik lub tygodnik, który czczość i ubóstwo swych kolumn podeprzeć usiłował romansową fabułą fejletonu; stracił wydawca, co tę rozwałkowaną zbieraninę do kupy następnie ściągnął; stracił autor, który liczył na rozgłos szerszy, mocniejszy, doraźny; stracił wreszcie czytelnik, co sobie obiecywał jedno, ale dobre i świeże danie, a ma ich dwa—oba na pół odgrzewane. Któż zyskał? — Jużci nie sprawozdawca, zniewolony teraz z kolei dorabiać sos do potrawy i niewiadomo kiedy i w jakim stopniu przez kogo strawionej.

Bierzemy dla przykładu parę piękniejszych miejsc z nowej powieści Jeża. Oto najpierw portret „Samej“—ubogiej, podupadłej hrabianki, Tereni Homirskiej. „Była to piękność rodzaju osobliwego, nie mająca nic wspólnego z temi, co brylują, głowy ludziom zawracają i trzonkiem wachlarza manewrując jak berłem, panują nad tłumami wielbicieli. Biła od niej wysłowić się niedająca dziewicza powaga, taka, co to sprawia, iż zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli. Z postaci jej wydzielała się wyższość nad wszelakie pożądliwości, owa wyższość nieskazitelna, która po wsze wieki czczoną była w niewiastach i stanowiła przymiot, wyświęcający je na westalki, kapłanki Znicza, na oblubienice Chrystusa. Gdyby się była urodziła w owych czasach, kiedy się wojny toczyły dla ludów i kobiety stanowiły artykuł jeden z najbardziej poszukiwanych i pożądanych, panna Teresa, jako branka w rękach wojowników najdzikszych, byłaby z pewnością otoczoną poszanowaniem, trzymającem od niej zwycięzców w oddaleniu... Nie odpychała postawą swoją, ale w osobnikach płci męzkiej wzbudzała zapytanie: czym jej godzien?... Wzbudzała to zapytanie samą postawą swoją, wejrzeniem mówiącem *noli me tangere*, uśmiechem, który się pojawiał jako obietnica nagrody za... przyniesienie białego kwiatka z przepaści. Na obliczu jej jaśniała pogoda cicha, słodka, rozkoszna, nie mrożąca zimnem z pod biegunów, nie paląca ogniem równikowym, ale nieubłagana na punkcie czystości duszy“ (str. 135—137).

Jeżeli tej Tereni czytelnik nigdy przedtem nie widział i nie przypomina jej sobie obecnie, to chyba dlatego, że mu na poczcie zginął numer czasopisma z odcinkiem,

---

zalia nie wychłodziła pieca! Na nic pójdą bułeczki. Muszę też jeszcze dokupić włóczki do pończoszek Jaśka; gdyby to tak jeszcze i dla Feluni! Zawsze mi czegoś braknie, ech, Jezu najsłodszy! — ale nas zbaw od złego. Amen.„

Starzec. „Nie byłoby nic podobnego, gdyby wyszedł z kierów. Ale naturalnie, *pańdzieju*, on z treflów i ja z treflów, on króla, a ja damę! Niech mię dyabli, jeśli kiedykolwiek jeszcze dam się podobnie wyprowadzić w pole.“

Co? co? Ależ nie oszalałem, ależ nie śnię chyba...

Cyt! To dziewczę jeszcze... O, święte dziewczę, gotów jestem modlić się do ciebie, zmiłuj się nade mną!

Dziewczę. „Z wzniesieniem oczu jest mi najbardziej do twarzy. Wszyscy mężczyźni dokoła na mnie patrzą tylko. Ach, gdyby to tak można i w salonie! A, i ten także! Ten, najbardziej. Poczekaj, mój panie, niechno jeszcze spuszczę oczy...“

Słodkie powieki spuszczają się, cień rzęs aksamitnych kładzie się na policzku. Czemuż teraz nie widzisz mego spojrzenia, ty — okpiwaczko!

Chce mi się krzyczeć, pięściami walić o ten twardy, zimny filar, deptać nogami po czemś, po kimś... Oburzony, wpółprzytomny przeciskam się przez tłumy, potrącany, trącając, nadeptując. U drzwi wstrzymuje mię na chwilę ściana tłumu. Cóż to? Gdzieś z boku jakieś bolesne, wstrzymywane łkanie!.. Czego ona tak płacze ta szara, w połatanej odzieży kobieta? Czego tak kurczowo zaciska zesztywniałe palce? A po zoranej twarzy łzy płyną — płyną... Nie wiem, nie chcę wiedzieć. Któż mi zaręczy, że i te łzy nie płyną z jakiej mętnej, płytkiej krynicy?.. Nie chcę słyszeć: badać. Uciec chcę — to jedno — uciec chcę...

Wydostałem się na świeże powietrze, na jasne, rzetelne majowe słońce. Ależ ono mię razi — to słońce! Jego blask pogodny i czysty, przykrywa niepokalanym płaszczem wszystkie fałsze ziemi. Niechby wicher wył, niechby deszcz smagał... Gdzieś zdaleka zegar miejski wydzwania godzinę. Siódma! Jakże powoli ciągnął się ten dzień, ten piekielny dzień—jedyny w mem życiu, w którym nie byłem głuchy. Dom mój własny, przyjaciele i obcy — wszystko tak mię zmęczyło, tak zdeptało... Gdzie ja się ukryję?

Wybierając coraz cichsze i ustronniejsze ulice, znalazłem się wkrótce przed bramą parku zamiejskiego. To dobrze. Chociaż to czas przechadzek, potrafię przecież znaleźć jakąś zarosłą, opuszczoną dróżkę. Znam taką jedną nad urwiskiem, gdzie glinę kopią. Parę brzozek, sosen woniejących żywicą, pod nogami piasek, suchym mchem porosły. Ubogo, skąpo — ale cisza. O, błogosławiona ciszo! Gdyby to jeszcze módz nie pamiętać...

Chodzę tam i napowrót, do zupełnego zmęczenia, do odurzenia... Słońce zaszło, mrok coraz gęstszy spuszcza się z pociemniałych niebios. Nogi plątać mi się zaczynają; niema tu ławek, siadam wprost na mchu, wspierając się o pień jakiejś drzewiny. Przesiedziałbym tak noc, życie całe. Nic mi nie trzeba i nikogo—nikogo...

A ona?.. Na niebie, przede mną, mruga pierwsza gwiazda. Ten szafir i gwiazdy przypominają mi pewne spojrzenie. A jej serce?

Chciałbym teraz, w tym posępnym mroku, wyciągnąć do ciebie ręce, jak je wyciągałem niegdyś w dzieciństwie do matki — chciałbym tą rozpaloną, biedną moją głową przypaść ci do kolan i płakać — i płakać... Gdybyś ty ręce położyła mi na włosy, gdybyś mię ukryła w ramionach w czystym, litościwym, macierzyńskim uścisku!.. Lecz twoje serce?

Kiedyś, gdym wierzył, w tem małem sercu założyłem sobie świat własny. Miałem tam swoją świątynię, swój dom, swo-

gdzie była mowa o dwu młodszych siostrzyczkach „Samej“—Mani i Frani, podlotkach milutkich, „których wiek liczy się na wiosny, a liczba wiosen nie przechodzi cyfry 14.“ Ze schorowanym, astmatycznym ojcem wychodzą one na przechadzkę do ogrodu Botanicznego i podczas kiedy matka ich dogorywa w domu, one oglądają po drodze „pojazdy wyższego pokroju, znaczone herbami, obsługiwane przez mężów w liberyi, ciągnione przez konie cugowe“—i taką z sobą wiodą rozmowę:

Mania. A co!... Henrys i baronowa, widziałaś?

Frania. Widziałam.

Mania. To musi być chyba prawda?

Frania. Amelka przysięga, że prawda. Na własne uszy słyszała, jak jej mama opowiadała mamie Gieni.

Mania. On ją wykradnie.

Frania. Na coby wykradać miał?... (s. 15).

Dość teraz dodać, że Amelka i Gienia są koleżankami Mani i Frani, że u każdej z nich „z pod krótkich sukienek wyglądały czarne, w czerwone paski pończochy“ i że wszystkie one były dopiero jeszcze pensyonarkami—ażeby wraz starzy i młodzi w jeden głos wykrzyknęli:—Ach, wiemy, doskonale teraz wiemy, o co chodzi!... To głośna historya. Ta Amelka, to jeszcze przed ukończeniem pensyi... panie tego... niby przed ślubem... A tę Gienię to w ogrodzie złapano... jak by to powiedzieć? gdy gruszki rwała na wierzbie. Wydano ją później za huzara. A hrabianki Mania i Frania to tylko dlatego bez szwanku wyszły, że nad niemi czuwała starsza ich siostra—owa właśnie Terenia, która wieczorami odrabiała to, czego się we dnie panienki nasłuchały na pensyi. A z tą Manią, to się następnie ożenił Paweł Skowron, człek podobno nizkiego rodu, bodaj nawet czy nie świniopas, milioner w końcu, dorobkiewicz, w którym się sama Terenia kochała, lecz wolała po zgonie ojca tak sprawy pokierować, żeby mu Manię wyswatać. A nieboszczka hrabina Homirska, matka dziewcząt, była rodzoną siostrą marszałkowej Zbędowskiej, która starszą swą córkę wydała za Gadulskiego, synowi zaś Janowi zostawiła z pięćkroć sto tysięcy majątku... Dziwak to był, maniak, kawałek filozofa, kawałek arystokraty, rozwiódł się licho wie, po co z pierwszą swą żoną, do drugiej nigdy trafić nie umiał, kręcił się tu i owdzie koło dziewcząt, zaglądał nawet zdaje się w oczki Tereni, ale zwyciężyła snadź znowu filozofia... A druga córka marszałkowej Zbędowskiej, Halina... Za kimże to Halinka była? Miała się ona z początku powiadają, do Skowrona, ale... Któż to ją wziął potem?... komu się to ziółko dostało?...

Wielkie jest prawdopodobieństwo, że wiadomość o zamążpójściu Haliny uwięzła gdzieś w drugim rzędu odcinku, zawieruszonym na pośredniej stacyi pocztowej pomiędzy Warszawą a Grodziskiem. Książka strofę tę wynagradza dzisiaj, lukę wypełnia—i w tem tkwi ogromna jej przewaga nad fejletonem niezbroszurowanym. Naprawdę atoli, komu przewaga ta zaimponuje? kto dla niej zszytą i wyrównaną formę książkową przeniesie nad rozstrzęsioną i rozbabraną formę odcinkową? Ten chyba, kogoby śmiertelnie zaciekawiły losy Haliny i opróżnionego w jej sercu miejsca po Pawle Skowronie—po owym „śmierdzącym chamie, podszytym wieprzowiną,“ jak się panna o przedmiocie swych uwielbień dziewiczych wyraziła przed Terenią w chwili natchnionego przez miłość wybuchu szczerości.

Bezwątpienia, jest w romansie Jeża nie mało zagadnień, rozmyślań, postrzeżeń zasługujących na ponowne, a wcale nie pobieżne, nie fejletonowe odczytanie i rozważenie. Jest przedewszystkiem wytrawna charakterystyka tak zwanego u nas „towarzystwa wybranego“ i jego niezliczonych sportów na rzecz cierpiącej w suterenach ludzkości. Jest dobra analiza honoru niektórych warstw tego wybranego świata—honoru polegającego wyłącznie na tem, aby powszechnie znany oszust i złodziej kieszonkowy punktualnie płacił długi zaciągnięte przy zielonym stoliku. Jest nader trafne określenie okulistyki adwokackiej, której mocą tylko dwie barwy: ognisto-czerwona i krwawo-purpurowa, znamionują zbrodnię rzetelną, wszelkie zaś mniej jaskrawo uwydatniające się odcienie od fioletowego w wyprzedanej przed ślubem intercyzie małżeńskiej, aż do stalowego w kluczu przy cudzej kasie, uchodzą poniekąd nawet za niezbędne szarfy dostojności dżentelmeńskiej. Jest wreszcie tysiąc innych drobnych zaznaczeń i wskazów, zasługujących w „Samej“ na poważne uwzględnienie i zbadanie. Dotyczą one: papug okrzykujących rozum i zacność ludzką na podstawie powodzenia, piesków, garnących się w imię zasady do większego kawałeczka niedogryzionego zraza, pcheł wyrastających w berlaczach magnateryi na znakomitych publicystów i mężów stanu, itd. itd. Nie wiele jednak to wszystko pomaga wydawnictwom na tomy, nie zaś na szczypty dziennikarskie. W tym punkcie świstek oddawna już zabił nietylko książkę, lecz i sumienie publiczne. Rzućcie okiem na ten bazar noworoczny, który pod postacią spisu rzeczy w obieg puszczonych lub obietnicę spełnić się mających w ciągu 52-ch tygodni przyszłych, ogniskuje, obrazuje lub obrazkuje całą naszą wiedzę społeczną—w strzępkach anonsowo-naukowych, zgarniętych, ze wszystkich encyklopedycznych podpiecków i komórek. Wściekłizna to i szał jednego jakiegoś urwipołcia, czy też gromadzkie rozpasanie się najtwardszych nieudolności i najpośledniejszych miernot w społeczeństwie? Asyryologia, numizmatyka, mediumizm, kraniologia i worek ostatnich wiadomostek — onegdaj; rozprawka o Goethem, notatka o republikanizmie Artona, hymn na cześć kuchni Leona XIII, horoskop przyszłości księcia Bismarka i dwa worki najświeższych nowin biurowych — wczoraj; nauczka dla Badeniego, uśmieszek do warszawianek z Zakopanego, przysmak dla żydów postępowych przed dwunastu laty i trzy worki sieczki ze stron rozmaitych—dzisiaj dla odnowienia przedpłaty kwartałowej... Żebyż w tem było choć jedno źdźbło zdrowego sensu, choć cień jakiegolwiek ładu, jakiejkolwiek myśli przewodniej, bądź w układzie treści bieżącej, bądź w powiązaniu jej z tem, co się do głowy wlewało przed rokiem, jak do jamy z pomyjami, a co około przyszłej Wielkanocy wydobywanem z niej będzie jako podarek, na dalszą tam kiedyś gwiazdkę!... Żebyż nad tą bezdenną próżnią ducha wsród chaosu materyi przyświecał gdzieniegdzie, kiedyniekiedy oryentujący promyk umiejętności ścisłej, idei głębszej, poglądu przenikliwego; żeby po przez to stęchłe kupy pośladów i wymiecin ze wszystkich gumien europejskich przebiegł niekiedy nikły bodaj strumyk wiedzy orzeźwiającej i ślad za sobą zostawił dla uczucia i rozwagi, dokąd tu podążać, co o tem wszystkiem sądzić i jak w tej kurzawie się obrócić... Ale nic—nic zgoła! Sypał się ten obrok złodziejski w jesieni; sypie się w zimie, sypać się będzie na wiosnę. Osowieją od niego ludzie, oślepną — ale tem lepiej właśnie: ślepy na szelmostwie się nie spostrzeże.

J. T. Hodi.

---

ją miłość. Bo to nic, że często jest pusta, jak małe dziecko i znęca się nade mną jak sama chce — miałem dotąd pewien klucz złoty, co mi otwierał skarbiec. Pamiętam piękne, zimowe wieczory, gdyśmy przy cieple kominka razem czytywali. Pamiętam, jak na każdą myśl wznioślejszą fijołkowe oczy roztwierały się szeroko i jak w nich rozpalał się—głęboko gdzieś—ogień wielki, poważny. Pamiętam, jak potem rozgrzewały się jej policzki, jak mię pytała o takie rzeczy, o jakie troszczą się tylko wielkie serca i duchy niepoziome. Pamiętam, jak potulnie dawała się brać za rękę i wieść na wyżyny. A tam, na tych wyżynach, już ona mię porywała — na skrzydła...

A teraz? Któż mi powie, co znajdę w tem sercu? Czy i stamtąd nie dojdzie mię ów szept gadzinowy? Czy czasem nie ja sam, zakamieniały romantyk, ubieram ją w jakieś fantastyczne draperye?

Nic nie wiem. Strasznie nic nie wiem.

Powstałem z ziemi i usilnie przypominać zacząłem, gdzie mógłbym ją spotkać. A! — czwartek. Zatem przyjęcie u Wronieckich. Toż zażarta przyjaźń z małą Wroniecką. Pół do dziesiątej — nie będę za późno.

Wpadłem do domu na małą chwilkę, aby zmienić tylko ubranie i o dziesiątej dzwoniłem już u drzwi Wronieckich. Gdybym mógł jeszcze rozumować, jakbym śmiesznie wydał się sam sobie! Nie dalej jak przed godziną wyrzekałem się całego świata i brzydziłem się najszczerzej wszystkimi bliźnimi moimi, a teraz oto wyświeżony, wymodniony stoję przed drzwiami, któremi mam wejść do jednego z najliczniejszych zgromadzeń naszego kółka. Ale żadne rozumowanie, żaden egotyzm przez głowę mi nie przechodzi. Muszę ją widzieć, gdziekolwiek będzie — muszę ją widzieć zaraz i niezbicie.

Salon był rzęsiście oświetlony, osób mnóstwo. Wymijając grupy siedzących i przechadzających się, torowałem sobie drogę do gospodyni i z niepokojem oczami szukałem Toni. Nie było jej tu. Może gdzie w przyległych pokojach? Zamieniając z panią domu powitalne frazesy, wzrok niespokojny zapuszczałem po za otwarte portyety; ale i tam jej nie dostrzegłem. A jeśli wcale nie przyjdzie, co zrobię wtedy? Czy pójdę do niej mimo tak spóźnionej godziny, że drzwi mogę zastać zamknięte? Niepewność moją przecięła mała Wroniecka, która spostrzegłszy mię, podbiegła i trzepocąc się jak zwykle, spytała:

— Czy pan nie wie, dlaczego Tonia dotąd nie przychodzi?

A więc niema jej! Gdzie ją znajdę teraz? Gdzie ją znajdę?

— Niechże pan nie robi tak desperackiej miny — szczebiotała — Tonia mi przyrzekła: przyjść musi!

Ukłoniłem się, prawdopodobnie coś odpowiedziałem. Postanowiłem czekać. Nic innego zresztą nie pozostawało; natychmiastowa ucieczka z towarzystwa była niemożebną. Postarałem się o miejsce — samotne krzesełko w głębi framugi, między grupą roślin i konsolką, naprzeciw drzwi wchodowych. Lecz między temi drzwiami, w które wlepiam oczy, a mojem schronieniem cały kalejdoskop strojów, szeptów, przyciszonych śmiechów, woni. Zdaje mi się, że to jakieś fale obcych wód przepływają przede mną. I tak mi dobrze, że wszystko to zupełnie jest obcem, że wewnętrzny świat tych istot, w obecnej chwili przynajmniej, wcale nie jest mi znanym.

(D. n.).

W. Dal.

Z ANGLII I O ANGLII

Gdy już mowa o autorach, musimy powiedzieć kilka słów i o czytelnikach, a mianowicie z punktu widzenia rynku na książki. W żadnym kraju czytelnicy nie są tak dzielnie zorganizowani, jak w Anglii; organizacya ta nie ma wszakże na celu samolubnych interesów czytającego. Przeciwnie, ułatwia ona piszącym odbyt ich wytworów. Zacznijmy przedewszystkiem od luźnego, żywiołowego skupienia czytelników w tak zwanych *library*, tj. wypożyczalniach książek, bądź publicznych i bezpłatnych, bądź też przedsiębiorstw prywatnych. Każde niemal dzieło, a przedewszystkiem naukowe ukazuje się z początku w wydaniu *library*, t. j. w droższem i zbytkowniejszem, przeznaczonem dla czytelni i wypożyczalni. Przeciętna ilość egzemplarzy, rozkupywanych przez nie, wynosi od 500 do 700; cena zaś tomu od 6 do 21 szyllingów, nie mówiąc już o wydawnictwach drogich ilustrowanych. Sprzedaż 500 egzemplarzy dzieła dwutomowego (w cenie np. 14 sz.) pokrywa już koszty wydawcy, zostawiając nawet niewielką sumę „na szpilki“ dla autora. Wypożyczalnie książek przeważnie są zniewolone do zakupienia nawet „niepoczytnego“ dzieła, bądź przez kierowników czytelni, jeśli te są publicznemi, bądź też przez tak zwanych „zbiorowych“ czytelników, kluby, stowarzyszenia różne, które zapisują się w czytelniach prywatnych na pewną ilość tomów miesięcznie. Jasnem jest, że oddzielne cząsteczki „zbiorowego“ czytelnika posiadają najrozmaitsze usposobienia i upodobania, które w organizacyi mają ułatwioną możność zaspokojenia. Nadto istnieją rozrzucone po całym kraju „kółka czytające,“ utworzone z ludzi najrozmaitszych warstw i klas społecznych, nawet w odludnych wioskach, złożone z kilku lub kilkunastu osób. Mają one rodzaj centralnego biura wywiadowczego w „krajowem stowarzyszeniu czytających,“ które za niewielką opłatę dostarcza wiadomości bibliograficzne, wskazówki, katalogi rozumowane, notatki dla samouczków, a wreszcie, stosownie do opłaty, wypożycza odpowiednią ilość książek. Czynią to także często różne stowarzyszenia naukowe, literackie a nawet polityczne, które wypożyczają ubogim klubom, związkom zawodowym i t. d. książki treści przyrodniczej, gospodarczej itp., stosownie do zadania stowarzyszeń. Dodajmy tu, że spełniają one rolę swą sumiennie, tj. nie narzucają czytelnikom dzieła określonej barwy, jeno dostarczają najlepsze o danym przedmiocie. Towarzystwo np. darwinistów załącza i utwory antidarwinistów, jeśli tylko mają pewne znaczenie naukowe, a Fabianie znowu wypożyczają dzieła, broniące zasady istniejącej gospodarki, jeśli one oświecają kwestyę sporną z nowego punktu. Widzimy z tego, że wydawca książki naukowej rzadko jest narażony na stratę kapitału, co też tłomaczy nam ożywiony ruch księgarski i łatwy dostęp autora do rynku wydawniczego.

Daleko mniejszą pomoc znajduje czytelnik w tygodnikach bibliograficznych, które mniej lub więcej są w rękach wydawców, a zatem przedsiębiorców. Pozostaje dział krytyczny bądź w tygodnikach, bądź w prasie codziennej. Pierwsze nie są dostępne dla ogółu, ale zawierają sumienne i nieraz głęboko obmyślane „przeglądy.“ Liberalny *Speaker* nie ma wprawdzie niekonwencyonalnego sądu, jaki spotykamy w *Saturday Review*, dziś *enfant terrible* zachowawców, ale za to ma bardziej stałe kryteryum, pewną konsekwencyę, której młoda prasa zachowawcza nie zawsze się trzyma. Gazety codzienne są wcale dokładnym obrazem piśmiennictwa. *Times* i *Standard* mają „dnie literackie,“ w których jest mowa to o „powieści z tygodnia,“ to o „nowych książkach“ czyli poważniejszych płodach piśmiennictwa. Przeglądy te, pisane przeważnie przez sumiennych dziennikarzy, chorują wszakże na sztywność, która jest wynikiem *respectability* zachowawczej. *Daily News* ma znakomite oceny Langa, ale nie zawsze i nie systematycznie. Najbogatszą kronikę literacką posiada radykalny *Daily Chronicle*, redagowany przez przedsiębiorczego dziennikarza, pana Massingham. Niestety, codziennie niemal stronica literacka urozmaicona, nieraz nawet świetna, zawsze obfita w wiadomości, jest jednocześnie redagowana bardzo nieuczciwie. Pewne powagi naukowe mają w młodym obozie nieprzyjaciół, którzy ostrzą swe strzały, aby ugodzić w „autorytet.“ Wyrazić się o Lecky'm z lekceważeniem, nazwać Gardinera molem książkowym—jest prawdziwem szczęściem dla „przeglądzidzisty“ z *Daily Chronicle*. Co gorsza, że wszyscy młodzi autorowie, należący do „bandy,“ sami zdają sprawę ze swych własnych utworów. Miałem sposobność widzieć, jak jeden ze „znanych młodych,“ odesłał redakcyi *czek*, uważając, że nie może przyjąć wynagrodzenia za przegląd swej własnej książki. Napróżno rozumowałem, że podstawą grzechu to okpiwanie publiczności, która nie zna tajemnic przyjaźni w *Daily Chronicle*. „Inni—dodał mi grzeszący do połowy — mają z przeglądów swych własnych książek, bodaj czy nie główne źródło dochodów.“ Z pewnym smutkiem zaznaczam, że im więcej postępowym jest dziennik, tem większe są nadużycia, podobne do powyższych.

Największym wrogiem „książek“ są wszakże miesięczniki i w ogóle „magazyny,“ których liczba stale wzrasta. Hall Caine opowiada, że w Stanach Zjednoczonych dziś wszyscy piszą artykuły; w Londynie zaczyna być tak samo. Miesięczniki i „magazyny“ płacą dobrze; artykuł, mający kilkanaście stronic przynosi „nieznanym“ pisarzom kilkanaście funtów st. a powagom literackim kilkadziesiąt, czasami nawet setkę i więcej funtów. Pisanie książek zaczyna się przeto nie opłacać, szczególnie gdy piszący ma „styl do miesięcznika.“ Pracują więc tylko mali i ci, którzy nie umieją się wysławiać. Poważne prace znalazły ostatnimi czasy nowego wroga w popularnych książkach, które, jeśli są żywo napisaną kompilacyą, pochłaniają uwagę czytelnika, krytyka, i rozumie się, wydawcy. Można dziś na palcach wyliczyć wszystkich tych, którzy piszą źródłowe prace. Nawet dziejopisarstwo angielskie nie przyciąga nikogo; epoki, których Lecky, Gardinier i kilku innych badaczy nie opracowują, znamy... z przekładów prac niemieckich. Z młodych pisarzy większość woli pisać o innych krajach, bo tu łatwiej kompilować dla publiczności angielskiej.

Są wszakże nowe zapowiedzi lepszej przyszłości. Na polu ekonomii społecznej pracuje samodzielnie pokolenie, wychowane przez Karola Bootha; zadaniem nowozałożonej szkoły nauk społecznych, jest między innemi przygotowanie zastępu sumiennych monografistów, którzy wrócą do zaniedbanych dziś źródeł naukowych.

Zakończę niniejszą kronikę notatką o dwu nowych miesięcznikach, które rychło mają się ukazać. Pierwszym jest organ socyalizmu chrześciańskiego p. t. *Dobro społeczne* (*Commonwealth*) przy udziale wysokich dostojników kościoła anglikańskiego, kilku członków stowarzyszenia Fabian oraz... grupy „emancypantek.“ Drugi miesięcznik p. t. *Przegląd postępowy*, ma być wolny od badań religijnych i będzie raczej odzwierciedleniem dążności, które, jak to już wyżej zaznaczyłem, nazwano w Oksfordzie „Nowym liberalizmem.“

W. Nadolski.

ODCZYTY.

Dr. Juljan Ochorowicz. *O medyumizmie.*

Tłumy, zarówno ciemne, jak i ukształcone, stojące na różnych szczeblach poziomu umysłowego, lubują się w cudownościach, szczególnie gdy te mają charakter wróżby, wypowiadanej przez duchy z krain pozagrobowych. Są to jeszcze resztki tych mroków odwiecznych, spowijających umysły; to z zamierzchłych czasów siła przesądu, tkwiąca w skrytkach mózgowych nawet ludzi oświeconych. Na skrajach naszego miasta i po za jego rogatkami są znachorzy sławni, którzy zamiast wytrycha i noża, wybrali proceder zyskowniejszy i rzadziej prowadzący do kozy. Tam po kryjomu w wielkiej tajemnicy przybywają ludzie ze świata wytwornego po poradę. Pod sekretem szerzą oni ich sławę śród przyjaciół i przyjaciółek, ale otwarcie wstydzą się przyznać, że wierzą w środki tego rodzaju. Legenda o wielkich uzdrawiaczach, wypowiadana półszeptem, idzie przez dziurkę od klucza z salonów do garderoby, ztamtąd do kuchni i suteren. Czasem zaś odbywa wędrówkę odwrotną i oto te dwa prądy, owa indukcya czarów, przejmuje wszystkie warstwy społeczne.

Na taki grunt podatny trafiła u nas sfera innych zjawisk tajemniczych, znanych śród ogółu różnobarwnego pod jednem mianem „spirytyzmu.“ Gdy wreszcie przybyła do nas Eusapia Palladino, gorączka wzrosła i stała się epidemiczną, ku czemu wielce dopomogła prasa brukowa. Wkrótce powstały rzesze spirytystów ze swymi apostołami, a śród „wiernych“ tu i owdzie ukazały się medya cudowne. Zabawka przybrała charakter lekkiego opętania a jej organizatorowie stali się szerzycielami oszustwa. Z tego chaosu wypłynął medyumizm czysty, którego ogół nie mógł jednak wyróżnić, tem bardziej, że „poważne“ doświadczenia z Eusapią tonęły w powodzi śmiesznostek, że w sprawozdaniach „naukowych“ bardzo często powoływano się na figle Johna Kinga. Czyż wobec tego tłumy, nakarmione sensacyą, groszodajną dla pism brukowych, mogły rozpoznać granice między spirytyzmem a medyumizmem?

P. Ochorowicz postanowił oznaczyć je wyraźnie w swoim odczycie i dokonał tego wybornie, a jednocześnie sam się przedstawił zupełnie inaczej, niż w polemikach i sprawozdaniach dziennikarskich. Odtrącił spirytyzm i wszelkie cudowności, stanął zaś na gruncie pozytywnym, jako wytrwały badacz wyższych objawów medyumizmu. Zjawiska niższego rzędu, do których należy między innemi tak zwany kumberlandyzm i wirowanie stolików, wytłomaczył działaniem mimowolnem mięśni wyprostnych. Do sztuki „odgadywania myśli“ nadają się wybornie osoby uczciwe fizyologicznie i one to właśnie wyrobiły sławę i powodzenie Cumberlandowi. W medyumizmie cechą objawów niższych jest jeszcze oszustwo, na które prelegent szczególny nacisk położył i zaznaczył, że zdarza się ono nawet podczas objawów „prawdziwych.“ Sferę bezwiednych działań człowieka wyjaśnił hypnotyzm. Jest on oknem, pozwalającem zajrzeć do głębin nieświadomej sfery duchowości, medyumizm zaś drzwiami, przez które owa bezwiedność przychodzi. Medya zatem podlegają całkowicie wpływowi otoczenia, więc i tresurze. Jeżeli je *wytre-*

suje zabobonny spirytysta, musi ono stać się niewolnikiem jego życzeń i przesądów, tj. wywoływać wszelkie zabawne figle, przypisywane duchom. Ochorowicz otwarcie twierdzi, że oszustwa mogą być zawsze, trzeba tylko im zapobiegać, gdyż medyum czyni to bezwiednie. Podczas doświadczeń w Cambridge — powiada prelegent — nie zapobiegano temu, więc zamiast objawów prawdziwych, stwierdzono skłonność do oszustwa. Wkrótce potem w Paryżu otrzymano rezultaty dodatnie. Medyum, pozostające pod tresurą badacza poważnego, musi wywołać objawy wyższe, jak np. lewitacye, przenoszenie przedmiotów.

W ostatnich czasach pod naciskiem niedowierzania powszechnego Ochorowicz postanowił bacznie śledzić to, czemu przypisywano całą tajemniczość: „podstęp.“ W tym celu oprócz poprzednich doświadczeń, spędził dwa miesiące wraz z Richetem i Eusapią na bezludnej wyspie morza Śródziemnego i tam odbywał codzienne, uciążliwe próby. Owocem tej pracy jest mocne utrwalenie w umyśle badacza hypotezy następującej: Noga lub ręka medyum podąża zrazu do przedmiotu, który chce podnieść. Dobrze jednak przytrzymana, zaczyna stygnąć, staje się zupełnie zimną. Jednocześnie stół czy inny przedmiot unosi się. Jakaż tu siła działa na pewną odległość? Oto ręka czy noga „rozszczepia się“ z materyalnej wychodzi druga — dynamiczna i podnosi przedmiot. W ten sposób może się oddzielić cała postać i wywołać objawy, które spirytyści przypisują duchom, a medyumiści nieznanym czynnikom przyrody. Uczucie dotknięcia palców tłomaczy się nawet zmateryalizowaniem ich końcyn, skutkiem oddzielenia atomów wraz z ręką dynamiczną. Jest zatem nowa, niezbadana siła w naturze. Ma ona wyjaśnić wiele zjawisk fizyologicznych. Pojęcie materyi i siły zmieniłoby się zupełnie — gdyby to wszystko było prawdą.

Nie mam zamiaru ani protestować, ani uznawać tych dowodzeń. W owym gmachu, na razie zbudowanym, widzę tylko deski zbawienia, za które chwyta się rozpaczliwie myśl ludzka, znękana zagadką. Któż się nie zgodzi z twierdzeniem Ochorowicza, że przyroda nie jest tablicą marmurową, zapisaną od początku do końca? To, co przez wieki rozum zdobywał i ogarniał, jest jakąś nieznaczną drobiną w bezmiarze tajemnicy. Spostrzegamy ją na każdym kroku, w całem otoczeniu codziennem. Nie mamy pojęcia ani o przyczynach wzrostu, ani zapłodnienia, ani o kształtach określonych życia organicznego. Podnieca nas i zachęca do ciągłych badań nadzieja, że z czasem wydrzemy coś jeszcze z owej tajemniczości, że zdobędziemy nowe środki energii, nowe siły żywotne i wyższe szczeble, prowadzące do szczęścia powszechnego. Gdzie systematyczne dociekania, aż do omdlenia myśli, są bezsilne, tam czekamy na przypadek, na nowy kociołek, z pod którego pokrywy wyszła potęga maszyny. Ta jedna idea — rozszerzenia granic wiedzy, przeglądająca z popieliska ciągle spalanych hypotez, zasługuje na szacunek. Jest ona tem źródłem czystem, które przesiąka przez różne warstwy ziemi, przegniłe bagniste masy organiczne i trzęsawiska, sprowadzające malaryę. Chemia powstała z alchemii, astronomia z astrologii, medyumizm ze spirytyzmu. Czekajmy, aż opary nizin z zaródkami złośliwej zimnicy ustąpią i ukaże się źdźbło nauki.

P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

INTELIGENCYA I JEJ NATURA.

III.

Liche nawet ziarno wyda na dobrej glebie plon znośny. Ale „śmietanka narodu“ przedstawia grupę zepsutą—fizycznie i moralnie. Nerwowość, to przekleństwo, ciążące dzisiaj nawet na niemowlętach, jest chorobą klasową, która dotknęła głównie „mózg społeczny“ i niszczy jego siły żywotne, oraz zdolność do systematycznego czynu. Nadwątlony i rozkapryszony organizm domaga się narkotyków nietylko materyalnych, lecz także idejowych: paradoksy, jałowe, byleby błyskotliwe, czynią właśnie zadość tej potrzebie. Niezdrów od urodzenia, członek arystokracyi ducha przebywa od dzieciństwa w atmosferze wpływów demoralizujących. Doświadczenie codzienne zatruwa jego młodą naturę jak najszkodliwszem oddziaływaniem, bo uczy go patrzeć na życie jako na hałaśliwy kiermasz zabawy i próżności, na którym ludzie są jako puste frygi. Literatura, spożywana przez młode pokolenie, owe skarby króla Salomona lub krwawe rzezie barbarzyńców, których wina polega na tem, że powitali białych najezdników z orężem w ręku, znieprawia umysł pacholęcy bajką sensacyjną. Wyobraźnia dziecka, karmiona taką strawą, przyzwyczaja się nie do obowiązków, lecz użycia. Dalszy żywot toczy się tym samym torem, zwłaszcza u tych, którzy jako potomkowie zamożnych dziadów lub ojców, są zwolnieni od zarobków. Trudno od nich wymagać zrozumienia, że życie ma swoje zadania, bardzo poważne. Nie wszyscy ze „śmietanki“ narodu znajdują się w takiem wyjątkowem położeniu. Wielu bowiem musi wybijać się o własnej sile. Ale zabiegi ich nie są jeszcze pracą poważną. Chudopachołkowi - lekarzowi przyświeca przykład kolegi, który za obejrzenie gardła bierze setkę rubli, adwokatowi majaczy się szczęście towarzysza ławy szkolnej. Nie wszyscy zajdą tak daleko, ale wszyscy czują, że jednym z warunków powodzenia jest umiejętność robienia reklamy. Działa to niezwykle demoralizująco. Ten i ów z eks-faryzów idei, wkroczywszy na śliską drogę blagi, pociesza siebie sofizmatami: zostanę uczciwym (naturalnie nie mierzymy uczciwości miarką kodeksu kryminalnego), gdy uciułam np. 50 tysięcy rubli; lecz zdobywszy, je posuwa wyznaczony kres do wyższej sumy. W korowodzie Mamony i Użycia niema miejsca na poważną filozofię obowiązków. Zamiast niej są tam w obiegu liczmany sofizmatów. Zapanowały one w dziejach ludzkości dopiero wtedy, gdy oparto stosunek spożycia do produkcyi na podstawie jak najnienaturalniejszej, tj. gdy celem działalności przemysłowej stało się wytwarzanie towarów, nie zaś produktów spożywczych, jak w zadrudze serbskiej. Pierwotny byt nie zna wyrobu na sprzedaż, ani sofistów. Zadrużanin z właściwą sobie jędrnością ochrzciłby adwokata—rzemieślnika, którego obowiązkiem jest dzisiaj to czernić, co wczoraj chwalił, nazwą jurgieltnika stary zaś Polak z w. XII kazałby mu pod stołem odszczekiwać niejedno twierdzenie. A jednak on, sofista wieku XIX, jest obecnie bardzo wpływową postacią w społeczeństwie: rej wodzi w parlamentach, kieruje opinią publiczną. Zachowawcy francuzcy, pomiędzy którymi jest wiele prawych mężów, składają się z ziemian, radykaliści liczą wśród siebie spory zastęp medyków i publicystów, adwokaci zaś stanowią wybrane czoło oportunizmu, tego odłamu, który splamił swoje ręce łapówkami panamczyków.

Frymarczenie przekonaniami, nerwica często dziedziczna, nawyknienie, nabyte już w dzieciństwie, karmienia umysłu sensacyą, serca zaś flirtem — nie! gdzie takie pierwiastki zapanowały, tam niepodobna spodziewać się zdrowego plonu. Lekkoduchy i wiercipięty, sofiści i karyerowicze tylko ślizgają się po powierzchni życia. Nauka jest dla nich idejowym szampanem.

Ale nie wszystkie drogi życia są takie. Istnieją szerokie i długie szlaki pracy mozolnej, od zarania życia aż do jego schyłku. Ludzie jej oddani przekonali się, że nie utorują sobie drogi sofizmatami, ani w swoim zawodzie nie mają wybrańców fortuny, którzy bez mozołu, skutkiem zręcznej reklamy, zdzierają znaczne sumy. Byt ich jest twardą, bardzo twardą szkołą, ale uczącą patrzeć poważnie na życie. Tylko okruszyny wiedzy spadają do nizin narodu, jak promienie słoneczne w pewnych dniach roku przez wierzchołki górskie do ciemnej doliny. Ale źdźbła ze skarbnicy dobytku umysłowego nie rychło dostają się na dół, bo poprzednio muszą odbyć kwarantannę — samo życie dokonywa takiej próby. Przez ten czas ziarno pożywne oddziela się od plew. Te drobne ułamki spotykają tam, w nizinach, inne przyjęcie, aniżeli wśród świata lekkoduchów...

Dwa odrębne światy i dwie różne fizyognomie duchowe! Ludzie dobrej woli w Anglii postanowili rozpowszechniać wyższą oświatę pomiędzy warstwami, którym warunki bytu nie pozwalają uczęszczać do zakładów naukowych. Probowano z początku dorywczych odczytów, jakie bywają urządzane dla inteligencyi. Ale przekonano się niebawem, że wzory takie są dobre tylko dla tych, którzy naukę traktują na równi z tańcem i sensacyą. Pod naciskiem słuchaczy, luźne, oderwane wykłady musiały się były przekształcić na powiązany szereg systematycznych acz popularnych lekcyj: w kilku wykładach mówca zaznajamia swoje audytoryum z całością zjawisk w pewnym zakresie przyrody. Opowiadają, że niektórzy uczniowie, po całodziennej pracy, robią po parę mil angielskich, ażeby nie opuścić prelekcyi. Ci słuchacze, którzy zniewolili swoich mistrzów do zamiany odczytów na naukę systematyczną, nie dadzą się olśnić bańkami mydlanemi, ani nie zasmakują w sofistyce i nie będą wiedzy traktowali jako świecidełka! Wystrojone damy, zapełniające sale odczytowe, nie są tak mądre, ażeby nie przydał się im kurs systematyczny jakiegoś przedmiotu. Uczęszczają one nie dla kształcenia swego umysłu. Odczyty, przeznaczone dla nich, winny posiadać inny charakter: już to, że inicyatorzy, nauczeni doświadczeniem, urządzają je rzadko w pewnych porach roku, świadczy o ich naturze. Korzyści z paplaniny dzisiaj o Grecyi, jutro zaś o kometach, są bardzo wątpliwe. Zresztą nie o pożytek tam chodzi: na „nudne“ wykłady publiczność nie uczęszcza, tylko na te, w których spodziewa się błyskotliwości i paradoksów, albo podniecenia nerwów.

Tak, tylko tam może istnieć szczere pragnienie wiedzy, gdzie warunki bytu nauczyły człowieka spoglądać poważnie na życie. Rodzaj strawy duchowej idzie zawsze w parze z pokarmem materyalnym.

Sowizdrzał filozofujący posiada właściwe sobie modły rozumowania. Mefistofeles daje młodzianowi receptę dla tresury ducha:

...Zuerst Collegium logicum.
Da wird der Geist Euch wohl dressirt,
In spanische Stiefeln eingeschnürt...

„Hiszpańskie buty“ — lekkość ducha — sprawia mędrkowi otoczenie, które zastępuje mu dawne wydziały logiczne. To wielkie „Collegium“ podsuwa mu także pewne metody myślenia. Blagier przysięga na bóstwo, zwane „faktem.“ i z natury rzeczy jest indukcyonistą. Nie lekceważę tej drogi dochodzenia do prawdy, która dużo przyniosła pożytku nauce; zaznaczam tylko, że jego rozpanoszenia się w życiu codziennem, jako najwybrańszej metody, towarzyszy zawsze utrata wszelkiej busoli moralnej. Uznać fakt za ostateczną instancyę czynów i poddać mu swoje zdanie, to zrzec się zamiaru naginania stosunków do głosu wewnętrznego, to w dalszym ciągu dowód nieposiadania wyrobionych przekonań, które nigdy nie pozwolą komuś być chorągiewką na dachu, obracającą się w kierunku wiatru. Podkreślam jeszcze raz tę okoliczność, że mówię o szerokich kołach. Indukcya, wzięta w takim zakresie, jest metodą oportunistów. Ktoby podjął się pracy rozpatrzenia sposobów rozumowania w związku z dążeniami społecznemi, doszedłby na pewno do bardzo ciekawych wniosków. Rzecz charakterystyczna, iż np. ekonomia pospolita i filozofia prawa zaczęły dlatego popierać ową metodę, że dedukcya klasyków i dyalektyka Hegla doprowadziły do poglądów, bardzo nieprzyjemnych dla mieszczaństwa. Dedukcyą posługują się tylko doktrynerzy, tj. niepokorne duchy, które nie mogą pogodzić się z zasadami, że trzeba tam sterować, dokąd wiatr wieje, jest sposobem rozumowania, który idzie w parze z wielkiemi odkryciami w nauce, nadaje ton umysłowości wielkich epok dziejowych i towarzyszy silnie zarysowanym poglądom. Nadto indukcya jest metodą fuszerki naukowej, przynajmniej bywa częściej, niż odwrotny jej tryb postępowania: ażeby teoryę oprzeć na gruncie naukowym i rozwinąć ją za pośrednictwem dedukcyi, trzeba wyczerpująco zgłębić przedmiot i znaleźć pomiędzy zjawiskami związek przyczynowy, co wymaga długich studyów.

Zresztą filozofujący blagier uwielbia nietylko indukcyę. Jest on jeszcze zacietrzewionym „syntetykiem.“ Każda nowa książka, która przykuła do siebie uwagę tłumu, jest już świętością dla niego. Stopień powodzenia jest probierzem jej wartości!

Niestety, ukazują się dzieła, poświęcone temu samemu przedmiotowi, posiadające znaczny rozgłos, a przecież rzucające na dane zjawisko światło zupełnie odmienne. W humaniorach zdarza się to bardzo często.

Lilienfeld napisał parę tomów, w których dowodzi, że społeczeństwo jest organizmem, i nawet umie przyrównać kulki krwi do różnego stempla monet. Spencer w swoich *Indukcyach socyologii* nagromadził sporo faktów (wprawdzie niezbyt przekonywających, ale mnogość uchodzi za doskonały równoznacznik jakości!), które mają poprzeć tę samą tezę. Ktoś inny wykazuje, że, przeciwnie, społeczeństwo nie jest całością organiczną, ale zlepkiem mechanicznie sprzężonych interesów, trzymanych na wspólnej uwięzi przez podział pracy. Pewien uczony napisał książkę, w której utrzymuje, że idea jest dźwignią dziejów i że rozum, w oderwaniu od warunków czasu i miejsca, wysnuwa z siebie przędzę postępu. Inny badacz natomiast twierdzi, że idea jest w rozwoju historycznym zjawiskiem wtórnem i że żywiołowo działające potęgi społeczne, powołując nowe zawikłania do życia, wymagają od umysłu, ażeby je tylko rozwiązywał. Są to teorye sprzeczne. Ale mają powodzenie, tj. są uznanym faktem! Blagier godzi uogólnienia, które wykluczają się nawzajem, co więcej, nawet, próbuje pysznić się z tego, że umysł jego może strawić wszelką papkę. „Wszechstronny“ mędrek, karmiący się tylko „ostatnimi“ wynikami filozofii, szydzi nielitościwie z doktrynerów, którzy nie umieją jednocześnie i Bogu postawić świeczki i dyabłu pochodni. *On* jest „syntetykiem,“ który zdołał obejrzeć przedmiot z każdej strony. Brak takiej zdolności jest może wadą, ale jest ona rękojmią postępu: towarzyszą jej zawsze oryginalność ducha i hart przekonań.

W gruncie rzeczy „synteza“ jest blagą, jak wogóle krytycyzm i wiedza lekkoduchów: pod nią ukrywa się licha kompilacya sprzecznych pierwiastków. „Wszechstronny“ mędrek, czerpiący z wielu źródeł swój rozum, sądzi, że zyskał coś. Tymczasem, zaprawdę, coś mu ubyło...

Obraz to posępny! Nie chciałbym, ażeby mnie posądzono o nadaremną pracę nawracania blagierów i lekkoduchów. Usiłowałem tylko poddać rozbiorowi właściwą fizyognomię duchową tych ludzi, stanowiących jądro arystokracyi ducha, oraz wykazać, że nie posiada ona mocy charakteru ani innych zalet, któreby uprawniły jej roszczenie do przodowania narodowi.

L. Krzywicki.

KOMUNIKACYA MIĘDZYNARODOWA.

W potoku spraw życiowych od czasu do czasu dotykamy dziedziny komunikacyjnej. Nasuwa się ona sama pod uwagę powszechną, ile razy tylko wchodzą tam zmiany i ulepszenia, uwzględniające rdzenne potrzeby całych mas ludności. Jest to dziś jeden z pierwszorzędnych czynników rozwoju materyalnego, duchowego i etycznego; rozgałęził się on, oplątał i uzależnił wszystkie sfery wymiany i produkcyi, oddziałał na warunki pracy fizycznej i umysłowej. Nic też dziwnego, że i nam owe roznosiciele cywilizacyi tudzież jej wytworów złych i dobrych, napraszają się pod pióro, gdy zbierzemy pewną sumę spostrzeżeń i faktów znamiennych.

Wyniki taryf strefowych po roku dowiodły, jak dalece były one pilną, nieodzowną potrzebą i dziś nawet przeciwnicy nie mają czem na nie ciskać, bo urzędowe źródła wykazały dochód z ruchu pasażerskiego większy, niż przy poprzednim systemie. Jesteśmy zatem w okresie utrwalenia reformy, którą prawdopodobnie wkrótce przyjmą koleje finlandzkie i kaukazkie. Doba obecna przedstawia także dążność powszechną do systematycznych, stałych ulepszeń komunikacyi na wszystkich kulturalnych przestrzeniach świata. Jedną z cech najważniejszych jest ciągłość i szybkość możliwie największa. Dosadnym zaś przykładem postępu w tej mierze jest taki „Orient—Express,“ dziś najdogodniejszy pociąg w całej Europie, wprowadzony po zbudowaniu dróg bulgarskich, złożony z wagonów sypialnych, restauracyjnych i salonów. Przebiega on przestrzeń olbrzymią między Paryżem a Konstantynopolem w ciągu trzech dni. Podróżni nigdzie nie przesiadają i nie czują formalności celnych, których pośpiech jest zastosowany do szybkości jazdy. Nadzwyczajna dogodność dla ogółu i znaczne dochody towarzystwa, które wzięło w swoje ręce ten specyalny pociąg, zachęciły do rozszerzenia przedsiębiorstwa. Urządzono taką samą komunikacyę włosko-hiszpańską. Wreszcie między Paryżem a Calais istnieje najnowszy pociąg pośpieszny Towarzystwa wagonów sypialnych pod nazwą „Club—train'u,“ posiadający wszelkie cechy klubów angielskich. Pasażerowie podczas takiej podróży poruszają się swobodnie, przechodzą łatwo i bezpiecznie do salonu, sypialni i restauracyi, dzięki tak zwanym kamerom—rozciągliwym pokryciom ganków. Osie urządzone są tak świetnie, że się nie czuje najlżejszego wstrząśnienia.

Towarzystwo międzynarodowych wagonów sypialnych zajrzało i do nas. Koleje zaś dla dobra ogółu i własnego interesu idą za przykładem zagranicy. Między Warszawą a Moskwą kursuje pociąg pośpieszny, także z sypialnią i restauracyą tudzież z krytymi korytarzami i łukowatymi mostkami na złączeniach ganków. Wagon restauracyjny—to Europa; tam spotkać można Francuzów, Anglików, Niemców, Włochów, posłyszeć mowę wielojęzyczną. Ten pociąg ma jeszcze wyższość nad zagranicznymi: zaopatrzony jest w 3-cią klasę, której podróżni, jadący z Warszawy i do niej, także nie przesiadają w Brześciu. Wprawdzie od paru miesięcy istnieje dopłata za pośpiech, 20% zwykłej ceny, ale za to zyskuje się na czasie: między Moskwą i Warszawą 7 godzin w stosunku do normy biegu pociągów pocztowych.

Niedawno na zjeździe kolejowym we Frankfurcie nad Menem zarządzający sprawami komunikacyi międzynarodowej (ze strony Rosyi), p. Perl, podał wniosek dogodniejszego rozkładu jazdy pociągów osobowych pomiędzy Petersburgiem a Wiedniem i skrócenia czasu, potrzebnego na przebycie tej przestrzeni. Następnie w Warszawie przedstawiciele kolei austryackich zaproponowali zastosowanie tej bezpośredniości do pociągów pośpiesznych między powyższymi punktami. Tym sposobem cała podróż trwałaby tylko 32 godziny i 33 minuty, tj. nawet nieco krócej, niż z Moskwy do Warszawy. Ponieważ przy dzisiejszym biegu i rozkładzie, podróż z Petersburga trwa 43 godz. 30 min., a z powrotem 44 godz. 59 m., oszczędność czasu po wprowadzeniu proponowanej zmiany uczyniłaby mniej więcej 11—12½ godzin. Szybkość jazdy musiałaby wynosić 60 kilometrów na godzinę, łącznie z przystankami.

Z tych faktów widzimy bezustanną dążność do ułatwienia komunikacyi międzynarodowej, przedewszystkiem zaś do skrócenia czasu podróży tudzież dania wszelkich wygód, które ochroniły by pasażerów od znużenia. Warstwy niezamożne patrzą na to, jako na sybarytyzm, który powstaje i rozwija się na kolejach kosztem najpilniejszych potrzeb ludności ubogiej. Jest to przesąd, wynikający z nieznajomości istoty rzeczy. Owe udogodnienia są poprostu znamienną cechą wieku dzisiejszego, wypływają z konieczności oszczędzania czasu i energii. Ameryka w wiecznej gorączce pracy i interesów, najmniej dba o sybarytyzm, a przecież tam „wagony pałacowe“ Pullmana przyjęto z wielkiem uznaniem i nadano im prawo obywatelstwa. Pozwalają one pasażerom swobodnie posilać się, spać, a nawet używać spacerów. Ludzie odznaczający się intenzywnością pracy, bezustannem natężeniem energii, rozumieją wybornie, że „oszczędność“ w drodze, polegająca na długiej, niewygodnej jeździe tanimi pociągami, jest oczywistą stratą, przypominającą zawód przysłowiowego skąpca. Płacą więc drożej za ów komfort i pośpiech, przejeżdżają tysiące kilometrów i nie czując prawie żadnego znużenia, wchodzą natychmiast w wir czynu z tą samą energią, co na miejscu. W ten sposób zaoszczędzona świeżość sił i kilkanaście lub kilkadziesiąt godzin, przynoszą częstokroć znacznie więcej, niż pochłonęła podróż wygodna.

Ulepszenia kolejowe są więc wybornem odzwierciedleniem obecnej doby życia materyalnego i duchowego. Aktor lub wirtuoz pędzi jednym tchem z południa na północ, przybywa do oznaczonego miejsca przed samem przedstawieniem lub koncertem, wykonywa swój program i dalej jedzie. Adwokat przerzuca się o setki i tysiące wiorst dla obronienia ważnej spra-

wy, lekarz dla uratowania ciężko chorego, korespondenci dla opisania jakichś nadzwyczajnych wypadków lub objawów życia; tłumy kupców, przemysłowców; uczeni dla obejrzenia lub wypróbowania rzeczy niezwykłych, ekonomiści dla osobistego sformułowania swych wniosków i projektów w danem ognisku pewnej grupy spraw, dyplomaci i wielu innych, porwanych życiem czynnem, spieszą bez wytchnienia z krańca na kraniec świata. Już dziś w kierunkach dogodnych arteryj komunikacyjnych drogę mierzą oni nie na kilometry i trudy, lecz na godziny; olbrzymie odległości zmniejszyły się znacznie, wielkie ogniska życia wszechstronnego zbliżyły się do siebie i jeszcze będą się zbliżać.

Ale przy charakterystycznej, skrzętnej oszczędności czasu i sił jakże rażąco wygląda wyczerpywanie tych cennych źródeł życia i dobrobytu u całych armii ludzi, odanych na usługi komunikacyi. Znany jest ten system i u nas i za granicą, słowem w sieci dróg międzynarodowych. O różnych pojedyńczych jego szczegółach mówiliśmy kilkakrotnie, a o strasznem obarczeniu pracowników na francuskiej kolei Południowej obszernie pisał w przesłym roku nasz korespondent paryski. Obecnie zima śnieżna nasuwa nam nowy fakt i ujawnia niewłaściwość sposobu wynagradzania dodatkowego służby pociągowej. Pobiera ona tak zwane „milowe“ lub „wiorstowe“—za przestrzeń przebytą. Podczas zamieci musi jednak spędzać w drodze nieraz kilkadziesiąt godzin więcej niż przy ruchu normalnym, a pomimo to jest ciągle czujna, na stanowisku. W rezultacie nie tylko naraża się na większe zużycie sił, droższe utrzymanie, niż w domu, ale i stratę dochodu z tego samego źródła, bo przy komunikacyi pomyślnej mogłaby dwa lub nawet trzy razy przejechać dany dystans. O wiele sprawiedliwiej byłoby oznaczyć wynagrodzenie dodatkowe w stosunku do czasu, spędzonego w drodze.

Drogomir.

FELIKS JEZIORAŃSKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Zmarły d. 20 Stycznia r. b. Feliks Jeziorański nie był ani członkiem instytucyi finansowych, ani artystą opery lub dramatu ani wreszcie człowiekiem, który w ciągu 59-letniej swej pracy zawodowej potrafiłby zdobyć popularność zdawkową. To też nieliczne stosunkowo grono uczestniczyło w pochodzie pogrzebowym, a jeszcze mniejsza garstka prawników i znajomych przysłuchiwała się nad grobem gorącym słowom towarzysza pracy. A jednak Jeziorański pozostawia po sobie bogatą puściznę naukową; należał on do tych, co obok pracy na chleb powszedni, pamiętają o działalności trwalszej, której owoce, wydostając się poza mury sądowe, nie z samych tylko wyroków, i obron się składają.

Ukochanem dzieckiem nieboszczyka, było prawo hypoteczne. Umiłował je całą duszą i rozwinął w książkach poważnych. Dwa tomy komentarzy do ustawy hypotecznej, obok trzeciego—pod prasą, projekt instrukcyi hypotecznej i wiele innych drobniejszych rozpraw—oto zgromadzony na tem polu dorobek naukowy.

Obficie zasilał *Gazetę sądową*, której był stałym współpracownikiem, i ostatnio redaktorem odpowiedzialnym. Gorąca i namiętna często obrona ustawy hypotecznej—to cecha charakterystyczna wszystkich tych prac.

Zasługą jego jest jeszcze i to, że skończył i wydał „Kodeks cywilny,“ pióra Jana-Kantego Orłowskiego.

Jako sędzia, był Jeziorański nieposzlakowanego charakteru; gruntowna znajomość prawa i doświadczenie czyniły zeń jednego z najlepszych członków magistratury. W r. 1876, z chwilą wprowadzenia reformy sądowej, przestał pracować na polu praktycznem. Natomiast od owej daty, ze zdwojoną energiją oddał się działalności prawniczo-literackiej. Cześć jego pamięci!

H.

PAMIĘTNIK.

Nadmiar i brak.

Nawet dla względów przyzwoitości towarzyskiej nie potrzebujemy kryć faktu, znanego już dziś powszechnie, a mianowicie — biedy młodych lekarzów. Nie będziemy tu badali, czy jeden z nich — jak głoszono niedawno — otruł się z głodu, czy z innych przyczyn; bo chociażby żaden tego rodzaju wypadek dotychczas nie zdarzył się i chociażby młodzi medycy mogli jeszcze zarobić w Warszawie na kawałek chleba, nie ulega wątpliwości, że tworzą już nadmiar i że wielu z nich cierpi rzeczywisty niedostatek. Położenie to zaś nietylko nie będzie się poprawiać, ale przeciwnie, z każdym rokiem pogarszać. Młodzież bowiem nasza, przechodząca z gimnazyów do uniwersytetów, niemal wyłącznie zapisuje się na dwa wydziały: prawny i lekarski. Dawniej wstępujący do wszechnic w wyborze drogi studyów kierowali się swojemi zdolnościami i upodobaniami naukowemi; dziś kierują się głównie widokami karyery. Ponieważ ten ostatni wzgląd będzie zawsze ściągał ku sobie wolę większości ludzi, a żaden morał go nie przeważy, więc nie mogąc zmienić faktu, starajmy się przynajmniej go złagodzić. I znowu staje przed nami tylokrotnie poruszana sprawa odpływu lekarzy na prowincyę. Jak wiadomo, swój opór przeciwko tej konieczności usprawiedliwiają oni tem, że warunki życia w naszych miasteczkach i wsiach sprawiają katuszę człowiekowi, mającemu rozleglejsze potrzeby umysłowe, że skutkiem ubóstwa ludu i niepokonanego współzawodnictwa wyzyskujących jego ciemnotę felczerów, lekarz utrzymać się nie może; że trudno wymagać od niego, ażeby on poprzestał na skromnym zapasie przeważnie teoretycznej wiedzy uniwersyteckiej i wyrzekł się dopełnienia jej praktyką w szpitalach, których na prowincyi niema; słowem, że osiedlenie się w jej zakątkach jest dla niego ryzykiem materyalnem i zbyt wielką ofiarą moralną. Z drugiej strony słyszymy głosy przeciwne. Oto leży przed nami świeżo odebrany list, oświetlający tę sprawę doświadczeniem życiowem i obserwacyą bezpośrednią. „Mieszkam — pisze korespondent — o parę wiorst od miasteczka, z którego lekarze uciekają. Urodziłem się i wychowałem na wsi, więc mam niejakie prawo do znajomości jej stosunków. Włościanin nasz jest bardzo oszczędny i zahartowany, na drobne dolegliwości nie zwraca uwagi, swej sile i zdrowiu ufa, a w chorobie wymaga pomocy taniej i doraźnej. Otóż lekarze prowincyonalni, a zwłaszcza młodzi, wcale się z tem nie liczą: oni odrazu chcą mieć rozległą praktykę, sami dużo zarobić i dać zarobek aptekarzom. Przykład: lekarz z miasteczka X., wezwany do chłopa z mojej wsi, kosztował go: wizyta rs. 2, cyrulik (bańki) rs. 1 k. 20, lekarstwa rs. 2 k. 62 — razem rs. 5 k. 82. Jeden taki rachunek był dostatecznym, ażeby nikt z tej wsi lekarza nie wezwał. A ponieważ rozgłoszono to dalej na odpustach i jarmarkach, więc cała okolica trzymała się od niego zdala. Tymczasem poprzedni lekarz w temże miasteczku (który, niestety, po 1½ roku zmarł) w pierwszym roku zarobił 1,500 rs. Dlaczego? Warunki te same — żadnej epidemii nie było. Na to powodzenie złożyły się: duża inteligencya, znajomość natury ludzkiej i — bezinteresowność. Bez względu na pogodę i porę dnia, jechał do chorego skromnym wózkiem, wioząc z sobą najpotrzebniejsze leki i narzędzia. Nie wstydził się stawiać baniek i załatwiać innych czynności felczerskich. Taka pomoc ma dla chłopa wartość, bo jest nietylko tanią, ale szybką i dzięki temu skuteczną. Że zaś lud umie ocenić rzeczywistą wiedzę, dowodem ogromna praktyka innego lekarza, do którego on ściąga tłumnie z dalekich wsi. Znachor za nadzieję poprawy zdrowia — kończy nasz korespondent — cyrulik za poradę częstokroć dobrą, biorą bardzo mało i dlatego na pacyentach im nie zbywa. Jeżeli więc walka z nimi ma dać wyniki pożądane, pomoc lekarska dla ludu musi być rzeczywistą a nielekceważącą chorego (bo i tak bywa!) i wymagania za nią nieprzesadzone. Trzeba pokonywać przeciwników nie środkami administracyjnymi, ale wiedzą, szlachetnością i dobrą wolą. Wtedy zwycięztwo będzie pewnem.“ *)

Niepodobna tym uwagom odmówić słuszności. Wskazują one istotnie punkt, w którym tkwi przyczyna jednego z naszych niedomagań społecznych i niepowodzeń lekarzy na prowincyi. Wprawdzie powyższy głos nie dotyka zasługującej na uwzględnienie kwestyi niemożności dalszego kształcenia się lekarzy, ale czyż w licznej ich gromadzie, wychodzącej corocznie z uniwersytetów na pole pracy, wszyscy są geniuszami i wielkimi umysłami, którym przeznaczono zajaśnieć w nauce i praktyce? Właśnie dziś, kiedy do tej armii rekrutuje się znaczna liczba ludzi nie z naturalnego powołania, ale z potrzeby utrzymania się w walce o byt, którym jest to prawie obojętnem, czem zajmować się będą, którzy nie mają i mieć nie mogą pretensyi do wawrzynów za wysoko rosnących dla ich uzdolnień — odpływ ku prowincyi jest wskazanym. Większe miasta posiadają lekarzy nadmiar, miasteczka i wsie—niedostatek, stosunek ten coraz bardziej i coraz groźniej wzrastać będzie ciągle; niech ci wszyscy, którzy weszli do świątyni Eskulapa bez zamiaru zostania w niej arcykapłanami, przyjmują w niej pozyteczną i zacną godność zwyczajnych, wiejskich kapłanów. Wszyscy my pragnęlibyśmy żyć lepiej i szczęśliwiej, ale nie wszyscy możemy wydrzeć to szczęście losowi. Żadna instancya pozwu przeciw niemu od nas nie przyjmie i żadna władza naszych pretensyj od niego nie wyegzekwuje.

Franciszek Jawdyński.

Przedwczesna i niemal tragiczna śmierć tego człowieka wywołała istotnie żal głęboko i szeroko odczuty. Znikła w nim bowiem prawie nagle, jak gdyby od uderzenia gromu, znakomita siła lekarska i znikł charakter prawy. Przy tej trumnie wtajemniczonym w życie nieboszczyka cisnęły się do serca dziwnie smutne rozpamiętywania. Ubogi student walczy o byt nietylko dla siebie, ale dla żony, którą poślubił zaraz po wstąpieniu do uniwersytetu; zaledwie zdobył stanowisko, traci jedynego syna; z tym niezapomnianym bólem w sercu musi przez wiele lat patrzeć na ciężką i nieuleczalną chorobę żony, która po długich męczarniach kładzie się do grobu; jeszcze nie oswoił się z tą żałobą, ratując kolegę, zaraża się od niego nosaciną przy operacyi i w strasznych cierpieniach umiera — umiera z jasną świa-

*) W tejże sprawie pomieszczamy wyjaśnienia w „Kronice.“

domością lekarzł, który wie, że nic ma dla niego ratunku, z protestem człowieka czterdziestoczteroletniego, który żyć chciał i długo jeszcze żyć mógł, ze smutkiem działacza, który ciężko wypracował swą sławę i stanął w jej zenicie, z rozpaczą ojca, opuszczającego młodą córkę, której wszystkie łaski losu zapewnić pragnął. Życie niemiłosiernie pastwiło się nad nim: dawało mu bowiem szczęście po to, ażeby je szybko odebrać, wznosiło go na wyżyny, ażeby z nich strącić.

Chociaż Jawdyński przyjmował czynny udział w wydawnictwach medycznych i ogłosił w nich szereg cennych przyczynków, a przez lat kilka był redaktorem *Pamiętnika lekarskiego*, główna jego wartość i chwała należą do dziedziny praktycznej. Chirurgia nasza postradała w nim pierwszorzędną siłę, biegłego dyagnostę, sumiennego i troskliwego lekarza, doskonalego i niezmiernie zręcznego technika. Uratował też życie i zdrowie ogromnemu zastępowi ludzi, którzy winni mu wdzięczność i którzy są najwymowniejszymi dowodami jego użyteczności i miarą straty, jaką w nim społeczeństwo poniosło. Że był człowiekiem dobrym i chętnym do bezinteresownej usługi bez względu nawet na własne bezpieczeństwo, świadczy sama jego śmierć, którą na siebie sprowadził w jednej z takich usług.

Niech go ziemia serdecznie przytuli do swego łona.

Fotografie Röntgena.

Jak wielkiem jest odkrycie prof. Röntgena, okazuje się stąd, że zdołało ono częściowo zapanować u nas nawet nad wrażeniami karnawału. Ludzie zamiast opowiadać sobie o cudach balu cyklistów, mówią o skutkach fotografowania wnętrza ciał nieprzezroczystych. Naturalnie gdzieindziej, gdzie światli obywatele i światłe obywatelki tańcują mniej, a myślą więcej, zainteresowanie się tym wypadkiem wystąpiło jeszcze wyraźniej. Już w zeszłym tygodniu, kiedy u nas dopiero gadano, nadeszły do Warszawy fotografie ręki według metody Röntgena, zamieszczone w jednem z pism czeskich a przedstawiające dziwny obraz: kości rysują się ciemno i wyraźnie w jasnej, nikłej, przejrzystej powłoczce ciała, a osadzony na palcu pierścionek jak gdyby wisiał w powietrzu (kości i metale są nieprzenikliwe dla promieni tego rodzaju fotografowania). Jeżeli zważymy, że zanim ktoś w Pradze przygotował kliszę, zanim ją odbito w piśmie, zanim to pismo przyszło do Warszawy, musiał upłynąć spory kawał czasu, zrozumiemy, jak nas wyścignęli w spopularyzowaniu wielkiego odkrycia ci, których słuch w tej porze chwyta nietylko okrzyki: „panowie rrrond—a panie do środka!" Miejmy nadzieję, że gdy nasze ilustracye troszkę oswobodzą swe kolumny od widoków i opisów karnawału, z pownością zamieszczą odbitki z fotografij Röntgena, zwłaszcza że są to obrazki bardzo efektowne, niemal — mówiąc gustem warszawskim — medyumistyczne.

Co do nas, nie chcąc powtarzać domysłów i objaśnień nieścisłych, zaznajomimy czytelników szczegółowo z istotą odkrycia, gdy jego sprawca ogłosi zapowiedzianą broszurę.

Cudowne dziecko.

Wiadomo, że obdarzyliśmy Europę i Amerykę obfitą gromadką „cudownych dzieci": Hofman, Huberman, Koczalski, nie licząc mniejszego drobiazgu, uwijają się po estradach całego świata. Co będzie z tego przychówku w przyszłości, czy on błysnąwszy w kurteczkach, nie zgaśnie dla sztuki później we frakach — trudno dziś orzec stanowczo. To tylko jest pewnem, że niektóre z tych dzieci mają bardzo wysokie mniemanie — o sobie. W tej chwili gazety rosyjskie polemizują z Raulkiem Koczalskim, który jakoby powiedział do współpracownika *Nowosti dnia:*

„Mam w Banku londyńskim 2 mil. fr. Większość tego kapitału stanowi dochód z koncertów i została powiększona grą na giełdzie, którą szczęśliwie kieruje mój ojciec. Oprócz tego posiadam trzy wille: we Francyi, w Karpatach i pod Warszawą. Jesteśmy o tyle zamożni, że mógłbym ukończyć moją karyerę, ale ja kocham sztukę i nie chciałbym się z nią rozstać, pomimo trudów wiecznego podróżowania. Przecież oprócz nas podróżują z nami: rodzina, armia sekretarzy i administratorów, pełnomocnik firmy Blüthnera, która wysyła za mną stale dwa fortepiany, itd. Niech się ludzie żywią!"

Dalej Raulek oświadczył, że wierzy w potęgę reklamy i że skutkiem zajęcia brak mu czasu do ćwiczeń fortepianowych. Jeżeli te słowa są prawdziwe, to można już młodemu artyście powinszować dojrzałości w cynizmie. Ale nie dość tego. Sprawozdawca muzyczny *Mosk. Wiedom.* ogłosił następujący list, otrzymany od Raulka:

„Szanowny panie!—pisze cudowne dziecko.—Przeczytałem pańską recenzye i zaraz przypomniałem sobie słowa nieśmiertelnego Kryłowa (następuje cytata z bajki „Osieł i słowik," gdzie pierwszy radzi drugiemu naukę u koguta). Ale proszę pana uspokoić się; pomimo pańskich rad, nie pójdę na naukę do kogutów moskiewskich, pozostawiając to takim skończonym wirtuozom, jak pan. Ja zaś zadowolony jestem z uznania całej Europy; czytam pańskie recenzye z uśmiechem pobłażania i proszę na przyszłość nie krępować się; niech pan w recenzyach swoich wykaże jeszcze większą znajomość i wysokie zrozumienie rzeczy. Mnie to bynajmniej nic nie obchodzi i nie mam pretensyj do pana."

Jeżeli wychowanie moralne młodego artysty nie jest jeszcze ukończone i umożliwia pewne poprawki, to ktoś z jego opiekunów powinien mu zwrócić uwagę na następujące względy:

1) Nie wypada lekceważyć tych, u których się szuka zarobku, uznania i sławy.

2) Skoro p. Raulek posiada już 2 miliony franków i trzy wille, to prawdopodobnie pojechał do Petersburga i Moskwy nie tyle po złote runo, ile po wawrzyny.

3) Jeżeli zaś tamtejsze wawrzyny nic go nie obchodzą, to po co on właściwie tam powędrował?

4) Kto nie protestuje przeciw czyimś pochwałom, nie ma prawa protestować przeciw naganom.

Zdaje nam się, że uwagi są zupełnie logiczne, a dla wodza „armii sekretarzów" bardzo potrzebne.

W DALI.

Częstochowa. Przemysł stale rozwija się w tem mieście. Na wiosnę powstanie wielka fabryka, która da pracę 200—300 robotnikom przy wyrobie celulozy (preparowanie drzewa na papier). Nadto—podobno ma powstać przędzalnia jedwabiu.—Pomimo znacznej liczby zakładów przemysłowych, istnieje tylko jedna szkółka początkowa przy fabryce przędzy wełnianej Paltzerów.—Dr. Władysław Wrześmowski przy szpitalu miejscowym otworzył klinikę. Zakład powyższy wcale nie odpowiada potrzebom 40 tysięcznej ludności miasta, posiada bowiem tylko 36 łóżek etatowych. To też pomyślna i nieobojętna dla mieszkańców jest wiadomość, iż wkrótce powstanie nowy, obszerny szpital na krańcu miasta

Kijów. Zarząd miasta stara się o otwarcie Instytutu inżenierów komunikacyi (drugiego w państwie). Jak wiadomo, istnieje projekt stworzenia takiego zakładu w Moskwie. Zarząd Kijowa obowiązuje się jednak przyjść z pomocą skarbowi, ofiaruje odpowiednią ilość gruntu, jeżeli będą uwzględnione zabiegi.—Prof. Akademii rolniczej w Moskwie, p. Zygmunt Woysław, otwiera w Kijowie oddział swego biura badań gruntu. Działalność jego obejmuje gubernie: Kijowską, Podolską, Wołyńską, Czernihowską, Basarabską i Chersońską.—Dzięki staraniom p. Ludwika Rutkowskiego, administratora Janej Horodki, powstaje w Kijowie kasa pożyczkowo oszczędnościowa dla oficyalistów rolnych. Ustawę opracowała komisya, wyznaczona przez Towarzystwo rolnicze, miejscowe, zredagował zaś ją ostatecznie adwokat przysięgły, p. Ignacy Łychowski. Instytucya ta będzie działać nie tylko w sterze oficyalistów powyższych, ale i pracowników fabryk, spokrewnionych lub związanych z produkcyą rolną: gorzelni, cukrowni, młynów. Ze względu na różne trudności, kasa nie będzie zrazu emerytalną, ale obejmie możliwie najszerszy zakres pomocy. Między innemi udzielać będzie zapomogi uczestnikom i pozostałym po nich rodzinom. Pożyczki krótkoterminowe mają być wydawane z pewną ostrożnością.

Petersburg. Według projektu podatku od procedorów, jak donoszą *Birż. wied.*, dyrektorowie i zarządzający przedsiębiorstwami, pobierający do 3.000 rs., płacić będą 50, do 6,000 rs. 100, a wyżej nad 6,000 rs.—200 rs. podatku rocznie. Komiwojażerowie, prowadzący handel towarami rosyjskimi, płacą rs. 75, a zagranicznymi 400 rs. Subjekci, stosownie do rodzaju przedsiębiorstwa i miejscowości, od 50 do 6 rs.—*Now. Wrem.* podaje następujące wyjaśnienie: Egzaminy ostateczne i przejściowe we wszystkich zakładach naukowych: wyższych, średnich i niższych, zarówno męzkich, jak i żeńskich, odbywać się będą w zwykłym terminie, przyczem młodzież, podlegająca im uwolniona będzie od zajęć z powodu uroczystości Koronacyjnych na trzy dni. W średnich i niższych zakładach naukowych wykłady trwać mają, jak dawniej i mogą być przedłużone do d. 23-go maja n. st. Poczem uczniowie promowani będą do klas wyższych na zasadzie rocznych stopni. Słabsi zdawać mogą po wakacyach, które w r. b. skończą się d. 13 września n. st. Wyjątkowo w szkołach moskiewskich wszystkie zajęcia i egzaminy ostateczne, semestralne i komisyjne będą ukończone pomiędzy d. 12 a 15-ym maja n. st.—*Now. Wrem.* zamieściło list generała Kosicza o pokojowem zawojowaniu Wołynia przez niemców. Autor proponuje, ażeby zwrócić kolonizacyę włościan rosyjskich ku Wołyniowi, zamiast na Syberyę. Gazeta, rozwijając tę myśl w oddzielnym artykule, projektuje dla osiągnięcia tego celu wykupienie wszystkich kolonij niemieckich na Wołyniu za pośrednictwem Banku włościańskiego i oświadcza się za koniecznością zaludnienia włościaństwem rosyjskiem wogóle Kraju Zachodniego.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZJAZD ROLNIKÓW.

Ciężkie warunki wytwórczości zbożowej przyśpieszyły ogólny wiec ziemian, zwołany w Moskwie jednocześnie z urządzeniem wystawy. Celem narad miało być wspólne, poważne porozumienie co do środków podniesienia produkcyjności. Żywioł ziemiański na olbrzymich przestrzeniach jest tak różnorodny pod względem temperamentu, pojęć, dążeń i poczucia potrzeb, że można było zgóry przewidzieć chaos i rozbieżność, a często sprzeczność żądań. Z powodzi referatów, czczych frazesów, a nawet z namiętnej burzy polemicznej, ciskającej piorunami wcale nieparlamentarnych wyrażeń, wypłynęło sformułowanie spraw, doniosłych dla wszystkich części państwa. Wybieramy z nich najpilniejsze i najważniejsze. Na pierwszym planie umieszczono podstawę techniki i gospodarki postępowej—środki wytworzenia pracowników dla różnych gałęzi produkcyi rolnej. Zaczynając tedy od dołu uznano za konieczne, ażeby nauczyciele wiejscy kształcili się agronomicznie i byli przewodnikami w szerzeniu metod racyonalnego gospodarowania nietylko śród dziatwy, lecz i dorosłych. Usunięcie utrudnień przy wydawaniu upoważnień na wykłady i pogadanki agronomiczne śród ludu może

także być wielce pożyteczne. Stworzenie szkółek dwuklasowych, uprzystępni działalność wiejskiej niższe zakłady rolnicze. Nadto potrzebna jest „niższa szkoła gospodarstwa,“ która nie odrywając młodzieży od warunków życia codziennego, pozwalałaby jej się kształcić. Pożądane jest zwiększenie liczby niższych szkół rolniczych i równomierne rozsianie w całem państwie. Do programu ich wprowadzić potrzeba meteorologię wraz ze stacyami trzeciorzędnemi, wreszcie naukę buchhalteryi rolnej. Dotychczasowe luki wypełnić należy stworzeniem warsztatów i różnych innych szkół specyalnych, jak mleczarskie, chmielarskie, ogrodnicze itd.

Żądania w zakresie nauki średniej również są ważne i liczne. Wyrażono np. życzenie, azeby każda gubernia posiadała własną szkołę tego typu, urządzoną przy pomocy miast i towarzystw rolniczych. Wszyscy wychowańcy zaś powinni mieć wstęp do wyższych. Z pierwszych i drugich należy usunąć przedmioty ogólno-kształcące i zasadnicze, a natomiast kandydaci muszą przychodzić z odpowiednim zasobem wiedzy. Jeżeliby zaś w tej mierze były trudności, pożądane jest rozdzielenie średnich zakładów rolniczych na dwa kursy: pierwszy, obejmujący przedmioty ogólne i zasadnicze, drugi—specyalne. W pierwszym wypadku reforma musiałaby ogarnąć dość znaczną część szkolnictwa, gdyż jak wiadomo, ogólne zakłady średnie posiadają programy, zupełnie odrębne, nie mające żadnej wspólnej nici, która zaprowadziłaby łatwo do szkół rolniczych.

W zakresie wyższej wiedzy specyalnej uznano za pożądane przyjmowanie większej niż dotąd liczby młodzieży, nadto—otworzenie wydziałów agronomicznych przy uniwersytetach, z prawem wstępu dla wychowańców szkół realnych i średnich rolniczych.

Pośrednim gruntem, zbliżającym wiedzę szkolną do roli, powinny być gospodarstwa z polami doświadczalnemi i szeregiem środków innych, gdzie oprócz uczniów mogliby się przysposabiać odpowiednio ludzie, którym losy nie pozwoliły korzystać ze szkolnej wiedzy rolniczej. Z czasem wyszłyby stamtąd rzesze oficyalistów i robotników, przedstawiających siłę intensywną—fundamenty większej produkcyjności, złożone z cegiełek wiedzy i doświadczenia. Ogniska takie powinny być kliszą warunków gospodarki w pewnym promieniu, a więc i wytwarzać muszą pracowników wogóle na potrzeby miejscowe. W związku z tem jest myśl stworzenia systematycznych kursów z zakresu rolnictwa, przystępnych dla każdego, kto tylko zapragnie.

Między innymi zjazd postanowił starać się o uprzystępnienie kobietom nauki agronomicznej — niższej, średniej i wyższej. Sprawa ta istotnie wynika z potrzeb życia, gdyż znaczny procent dóbr ziemskich pozostaje w rękach kobiet, niedoświadczonych, nie mających najmniejszego pojęcia o gospodarowaniu. Jest to także jeden z czynników upadku rolnictwa. Dla ułatwienia pracy tym przyszłym rzeszom potrzebna jest stosowna organizacya; otóż pożądane byłyby biura wywiadowcze przy towarzystwach rolniczych.

Wogóle zjazd położył silny nacisk na badania i doświadczenia naukowe w zakresie wszelkich gałęzi gospodarki rolnej, a więc i na zwiększenie środków w tej mierze. Między innymi, do ważnych należą t. zw. okręgowe stacye doświadczalne wraz z polami i fermami. Wszystkie te instytucye, rozproszone na wielkich obszarach, powinny mieć ster tj. instytut doświadczalny agronomiczny. Po za tem niezbędne są stacye meteorologiczne 2-go i 3-go rzędne przy polach doświadczalnych tudzież pierwszorzędne przy stacyach okręgowych.

W osobnej grupie sformułowano znaczenie towarzystw w rozwoju produkcyi rolnej. Zjazd przyszedł do przekonania, że niezbędna jest jaknajwiększa liczba takich związków, nie tylko gubernialnych, ale i powiatowych, a nawet na mniejszych terytoryach. Chociaż nie określono wymiarów przestrzeni, na jakich mają one działać, łatwo jednak domyślić się, że granice administracyjne (powiatów i gubernij) nie mogą nigdy być kresem działalności owych instytucyj. Podział pod względem cech rolnictwa założy ściśle od warunków geograficznych i geologicznych. Zatem przestrzeń, podlegająca działalności towarzystwa „gubernialnego,“ może być złożona ze skrawków kilku gubernij; tak samo „powiatowe.“ Ogniska te powinny skupiać wszelkie potrzeby danej grupy ziemian, odczuwać je dostatecznie, oceniać i pośredniczyć miedzy rolnikami a organizacyą centralną. Drobne zajmą się sprawami praktycznemi, większe—opracowywaniem i zobrazowywaniem kwestyj ogólnych. Dla stworzenia takich ognisk zjazd żąda pomocy ministeryum rolnictwa. Niezależnie od towarzystw pożądane byłyby różne związki rolnicze w celu ułatwienia zbytu produktów tudzież taniego kupna przedmiotów potrzebnych w gospodarstwie udzielanych członkom stowarzyszenia nawet na kredyt.

Inna sekcya zajęła się ugrupowaniem potrzeb, dotyczących hodowli bydła i handlu mięsnego. Weszły tu na pierwszy plan szkoły owczarskie, ulgi taryfowe dla przewozu wełny, bydła, rozpłodowców, przyśpieszenie biegu pociągów, wystawy inwentarzy, wzmocnienie organizacyi weterynaryjnej, zbadanie warunków handlu wewnętrznego i zagranicznego itd. Domagano się również wielu środków podniesienia hodowli koni. Tutaj już muszą być uwzględniane warunki czysto miejscowe danych przestrzeni, szczególnie w naprawie ras użytkowych. Dopiero po utrwaleniu chowu racyonalnego trzeba pomyśleć o wytwarzaniu na wywóz. Do środków pomocniczych należą: utworzenie komitetów hodowlanych przy towarzystwach rolniczych, stacyj rozpłodowych, ułatwienie wydzierżawiania lub nabycia (ze spłatą ratową) ogierów ze stadnin rządowych, ulgi taryfowe, wzmocnienie ochrony weterynaryjnej, wreszcie energiczna walka ze złodziejstwem, jak np. wygnanie koniakradów — recydywistów.

W sprawie gospodarstwa mlecznego zażądano głównie odpowiedniej organizacyi nauki fachowej, tj. stworzenie niezbędnej liczby szkół różnych typów, wprowadzenie, do wyższych wykładów, gospodarstwa mlecznego w zakresie teoretycznym i praktycznym. Dalej potrzebne są: wzorowe maślarnie, zwiększenie liczby instruktorów dla wszystkich działów mleczarstwa, kursy dla ogółu gospodarzy i pracowników, uprawiających tę gałąź; osobne wykłady dla instruktorów tudzież specyalistów, wyrabiających masło i sery, tam gdzie praca ta ma charakter przemysłowy.

Sprawa uregulowania stosunku między właścicielami ziemskimi a warstwami robotniczemi doczekała się trochę ogólników i nieco skromnych życzeń, uwiecznionych w protokołach; ale jednocześnie wywołała straszną burzę wielu przeciwników wszelkiego regulowania. Tu wezbrały długo tajone uczucia gniewu, uniosły na mętnych falach maskę humanizmu i przelały się przez brzegi... przyzwoitości. Powódź polemiczna ustąpiła i został osad w formie następujących pobożnych życzeń: Pożądana jest 1) systematyzacya prawna, określająca stosunki wzajemne; 2) uregulowanie wędrówek mas robotniczych drogą biur pośredniczących; 3) nagroda pracowników za długą służbę; zabezpieczenie bytu na starość i w razie nieszczęśliwych wypadków. 4) Rozwój arteli i zapewnienie odpowiedzialności członków w razie niedotrzymania umowy. 5) Przyśpieszenie procedury sądowej przy roztrząsaniu sporów. Szczegóły te wymownie przekonywają, jak płytko i pobieżnie, chociaż burzliwie, traktowano ważną dziedzinę.

Nie możemy tu szczegółowo roztrząsać wszystkich spraw poruszonych na zjeździe. Zaznaczymy tylko, że szereg sformułowanych wniosków, żądających naprawy gospodarstwa, obejmuje: kwestyę uregulowania produkcyi win i przeciwdziałania fałszerstwu, irygacye pól, organizacyę sztucznego użyźniania. Dla podniesienia i wzmocnienia ogrodnictwa postanowiono starać się o wydanie ogólnego prawa, nakazującego obowiązkowe niszczenie owadów szkodliwych; o urządzenie stacyi doświadczalnych, na wzór rolniczych. Należy poprzeć i przyciągnąć siły niewieście do tej gałęzi gospodarstwa tudzież rozszerzyć lub stworzyć kursy odpowiednie dla kobiet. Wreszcie niezmiernie ważnym jest warunkiem organizacya stowarzyszeń ogrodniczych.

Najdonioślejszą grupę spraw, dotyczącą podniesienia wydajności w rolnictwie, zostawiliśmy na zakończenie, gdyż wymaga ona pewnego światła. Zażądano ułatwień kredytowych i streszczono wiele życzeń, które już niezliczone razy były roztrząsane w towarzystwach rolniczych i prasie. Następnie uznano za czynnik podstawowy organizacyę elewatorów; wreszcie główny nacisk położono na handel wraz z całym jego systemem, wielce złożonym, a więc ułatwienia komunikacyjne, sprawność przewozową, cła i taryfy.

Nadzwyczaj znamienną cechą dążności w tej mierze jest żądanie ulg w taryfach różniczkowych i to najenergiczniej popierane przez tych, którzy najmniej są obeznani z zawiłym systemem i jego ścisłym, bardzo szerokim związkiem z ogólnem życiem ekonomicznem. Oczywiście żądania takie mogą być w wielkiej niezgodzie nietylko z interesami całych mas ludności, ale nawet tych, którzy widzą w reformie jedynie dobro osobiste. Otóż pod naciskiem wielu uczestników zjazdu postanowiono niezwłocznie i usilnie starać się o znaczne zniżenie opłaty za przewóz zboża ku portom i zachodnim granicom lądowym. Uchwałę tę zatwierdzono i nikt się nie znalazł, ktoby wyjaśnił i przedstawił właściwie tę sferę zjawisk ekonomicznych. Nie pojechał od nas Suligowski, jedyny gruntowny znawca spraw taryfowych, bo był chory. Nie pojechali inni, bo nie czuli się na siłach lub wprost nie rozumieli doniosłości wiecu ziemiańskiego. Nasza sekcya rolna pokryła zjazd zupełnem lekceważeniem, a jej prezydyum nie zdobyło się nawet na lekką zachętę. Dowodzi to, jak płytko czasem traktuje te chwile nadzwyczajne, w których się ważą losy bytu materyalnego całych rzesz ludności. A może po prostu jest ono pewne z góry, że nie znajdzie ludzi odpowiednich. Wszakże raz już się zawiodło na rzeczniku młynarstwa, dzielnym dla interesów własnych a niebezpiecznym dla ogólnych.

Wskazówki, zebrane w nadzwyczaj cennem, najświeższem dziele Suligowskiego, niewątpliwie znalazłyby przychylne przyjęcie na zjeździe, jako wielce przekonywające i racyonalne. Szeregiem poważnych faktów stwierdza on, że taryfy różniczkowo wcale nie złagodziły przesilenia rolniczego, że zawiodły wszelkie rachuby, że ceny zboża nie podniosły się, lecz nawet w większości wypadków stanęły niżej. Oto co mówi autor: „Jeżeli system okazał się słabym w walce z konkurencyą międzynarodową, nie pozostał on bez wpływu wewnątrz państwa; przeciwnie—oddziaływanie jego uwydatniło się w zwiększonej zdolności przewozowej zboża, nadmiary z miejscowości mniej zaludnio-

nych szły co prędzej do prowincyj ludniejszych, zwiększając podaż i zalewając tam rynki. I to nam właśnie tłomaczy, dlaczego ceny na południu i zachodzie państwa spadły znacznie więcej, aniżeli na wschodzie. Gdy można było przy pomocy tanich taryf wysyłać zboże na południe i zachód, gubernie nadwołżańskie i zawołżańskie wnet korzystały ze sposobności. Drogą takiego dowozu nie uratowały się one od przesilenia, pod którego ciężarem dotąd pozostają; przyczyniły się zaś do zaostrzenia kryzysu w innych częściach państwa. Pomimo ułatwionych taryf, ceny na rynkach Saratowa i Samary pozostały na poziomie niższym od cen z r. 1887. Co prawda, spadek na wschodzie był mniej dotkliwy i na tem też polegała cała korzyść."

Żądana obecnie reforma taryfowa wyda takie same, jeżeli nie gorsze owoce. Należałoby więc ją przeprowadzić na zasadach równomiernie uwzględniających potrzeby wszystkich części państwa, tj. właśnie według wniosku Suligowskiego. Ułożył on formułę odpowiednią i jednocześnie zwrócił uwagę na to, że właściwie taryfy *wywozowe* nie istnieją, bo zboże, przeznaczone na eksport, pozostaje na pograniczu i przepełnia tam rynki, a nawet może wracać z zagranicy, o ile nie ulega ocleniu. Otóż wtedy taryfy można byłoby nazwać wywozowemi, gdyby eksporter przedstawił odpowiednie świadectwo, że produkt swój umieścił na rynkach obcych. Na tej zasadzie otrzymałby zwrot połowy opłaty przewozowej (premium).

Na szczęście jesteśmy z góry pewni, że reforma taryfowa nie może być uskuteczniona „od ręki," że zatem należy oczekiwać wszechstronnego rozpatrzenia sprawy.

Zjazd niniejszy, jakkolwiek miał ogrom kwestyj, nie uwzględnił i nie dojrzał wszystkich, znaczną zaś ich część traktował pobieżnie, powierzchownie i przedewszystkiem widział główny ratunek w środkach administracyjnych. To jednak, co uchwalił i co uważaliśmy za stosowne streścić, zawiera materyał ważny, który może się przyczynić do przyspieszenia wielu ulepszeń. Musi atoli przejść jeszcze przez szereg retort w różnych pracowniach kancelaryjnych.

Zen. Piet.

— Niedawno jak donosi *Kuryer warsz.* — bawili w Warszawie kapitaliści gdańscy dla kupna drzewa masztowego tudzież budulcu w porębach rządowych i prywatnych. Nabyli oni dużo tego towaru w gub. Lubelskiej i Grodzieńskiej nad Muchawcem. Jeden z nich, Edelman, zakupił drzewa na 130,000 rs. Można sobie wyobrazić, jaką wartość rzeczywistą przedstawia ten materyał...

— Na porządku dziennym posiedzenia styczniowego sekcyi rolnej było kilka ciekawych, żywotnych spraw. P. J. Dłużewski odczytał referat p. t. „O ujednostajnieniu hodowli inwentarza w zależności od warunków miejscowych," p. Jeziorański „O szkodliwych stronach działalności elewatorów w Ameryce północnej," p. Gałecki „O najkorzystniejszem użyciu kartofli na paszę." O kwestyach, poruszonych przez pp. Dłużewskiego i Jeziorańskiego, pomówimy osobno w jednym z najbliższych numerów.

PRASA ROSYJSKA

W prasie rosyjskiej podniesiono sprawę zmiany kalendarza starego na nowy. Przoduje w głosowaniu za tą zmianą *Now. Wremia*, które pisze:

„Jesteśmy zacofani na punkcie astronomicznym, co nigdy może jeszcze nie pociągało za sobą tylu niedogodności, jak w dzisiejszych rączych, gorączkowych czasach. Proszę sobie tylko wyobrazić, jaką to drogę można przebyć, jadąc pociągiem błyskawicznym przez 12 dni! Gdy gotowa będzie kolej syberyjska, można będzie obchodzić nowy rok w Warszawie, według ścisłych pod względem astronomicznym danych, a około naszego przestarzałego pod względem kalendarzowym Nowego roku, można już będzie znaleźć się na wybrzeżach oceanu Spokojnego. Łatwo zrozumieć, jak to wikła wszelkie obliczenia handlowe, jakie to nastręcza niedogodności dla podróżujących z Zachodu na Wschód, z Francyi do Japonii, gdy jadąc przez Rosyę, podróżny czuje się pogrążonym niejako w głębokiej otchłani czasu, której ściany, zachodnia i wschodnia, posiadają wysokość 12-tu całkowitych dni! Niedogodności tej „otchłani czasu" uświadomiono sobie oddawna, czyniono wielokrotnie próby poprawienia kalendarza, ale próby te rozbiły się zawsze o uprzedzenie, że ta zmiana obudzi wśród ludu przesądy, niezadowolenie i fanatyzm religijny. Czy to nie czcze obawy, skoro lud prosty i dzisiaj jeszcze reguluje życie swoje według słońca, lud zaś piśmienny, którego z każdym rokiem przybywa coraz więcej, czuje doskonale, jaki to wstyd stać o dwanaście dni wstecz za ogółem i uchodzić wciąż za ludzi ciemnych i zabobonnych? Nie takie przecież niewinne omyłki poprawiła u nas swobodnie Wola Monarsza, a czyż poprawki te miały jakie ważniejsze następstwa? Przypuśćmy, że poprawienie ksiąg cerkiewnych przez Nikona wywołało odszczepieństwa, lecz przecież pomimo niesłusznego i nieoględnego prześladowania roskolników, samo to odszczepieństwo usycha i więdnie coraz bardziej, im mniej się je teraz prześladuje. Poprawa zaś kalendarza w naszej epoce rozgałęzionych stosunków międzynarodowych, wspólności interesów świata, zjednoczenia nauki, sztuki i przemysłu, jest oczywiście dziełem o wiele łatwiejszem, aniżeli niegdyś poprawianie ksiąg cerkiewnych wśród ludu ciemnego zupełnie, odgrodzonego murem chińskim od klas oświeconych. Zdawałoby się też, że niema potrzeby wymyślać żadnych przejściowych stopni od starego do nowego, lecz poprostu ogłosić północny termin dla powolnego przepisania wszystkich pieniężnych zobowiązań osób prywatnych ze skarbem i przejścia potem odrazu do nowej daty. Można zresztą tym, którzyby sobie tego życzyli, nie zabraniać posługiwania się nadal podwójną datą, i staremu Antoniemu obchodzić imienin na Onufrego, o ile, rzecz prosta, sam tego zapragnie. Złego to nikomu nie przyniesie, a sprawa wielkiej wagi będzie dokonana raz nazawsze i kompromitujący nas błąd kalendarzowy rozpłynie się w wieczności.

KRONIKA.

Wyjaśnienia. Z powodu naszej notatki o *Tygodniu* piotrkowskim, otrzymujemy następujące wyjaśnienie od jednego z czytelników.

„Informacye co do fabryki są mylne i niewystarczające. Np. taki wielki zakład, jak Towarzystwo akcyjne „Zawiercie," zniknął, „Peltzer et Fils" mają przędzalnie wełny czesankowej (nie wielbłądziej). Jeśli inne informacye taką dokładnością grzeszą — wniosek [illegible]."

Autora tych słów kilku spieszymy zapewnić, żeśmy nie chwalili *informacyj* owego pisma, lecz *dążność* do ich zbierania, o czem świadczy zakończenie naszej notatki: „Wobec braku u nas stałej i poważnej organizacyi statystycznej, takie wiadomości w piśmie prowincyonalnem, *o ile będą rzetelnie prowadzone*, mogą oddać wielkie usługi w badaniu życia społeczno-ekonomicznego."

— Z powodu artykuliku p. t. „Dla lekarzy," otrzymujemy następujące wyjaśnienie:

„Jako mieszkaniec okolicy Lipska (pow. Iłżeckiego gub. Radomskiej), mogę tylko polecić młodym lekarzom tę miejscowość. Leży ona o 10 wiorst od Wisły i przystani. Gmina liczy ludności przeszło 6 tysięcy, osada — 3 tysiące, przeważnie żydów, zajmujących się handlem drobnym i skupem zboża. W miasteczku są: sąd gminny (na 4 gminy), poczta, zarząd akcyzy, kościół parafialny i co dwa tygodnie odbywają się ożywione jarmarki. Lekarz pierwszy, p. B., był półtora roku i cieszył się dobrą praktyką, a wyjechał przed pięciu laty na posadę kolejową do Cesarstwa. Obecny także, jak mi pokazywał swoją kontrolę dochodów, miałby z praktyki do tysiąca rubli, ale częste wyjazdy, odbywane dla przyjemności, nieraz i całe tygodnie trwające, zniechęcają ludność miejscową, która udawać się musi o 2—3 mile lub przywozić lekarza do ciężko chorych, co przy dzisiejszych trudnych warunkach zarobkowania i niskiej cenie zboża jest wprost niemożebne. Lekarz z Lipska oprócz praktyki pobiera pensyi stałej, tylko od gminy żydowskiej, 150 rs. rocznie, a aptekarz miejscowy dawał kawalerowi stół i mieszkanie bezpłatnie. Zdaje się, że to nie są ciężkie warunki istnienia dla początkujących. Ale młodzi zazwyczaj mają zbyt wygórowane wymagania; do takich ma szczęście nasze miasteczko, bo i teraźniejszy zamierza osiąść w Łodzi. O felczerach to tylko mogę nadmienić, że nie są gorsi, niż gdzieindziej: przynoszą szkodę ludności miejscowej, ale usunięcie tej plagi nie jest w mocy jednostek. *Stanisław Bekanowski.*

Wiadomości społeczne. W Warszawie przy ul. Hożej p. Skłodowska otworzyła czytelnię dla dzieci.

— Zecerzy lwowscy postanowili nie przyjąć cennika normalnego, uchwalonego na zjeździe właścicieli drukarni, gdyż zniżał on płace, obecnie pobierane. W razie, jeżeli nie przyjdzie do zgody, pokrzywdzeni urządzą zmowę.

— W Finlandyi opracowano nową ustawę cenzu-[illegible]

— Zbiegli za granicę od służby wojskowej, podlegać będą zamknięciu w domu poprawczym, a w czasie wojennym — zesłaniu; majątek zaś przejdzie pod administracyę opieki. (*Peterb. Wied.*).

— Powieściopisarza Jana Zacharyasiewicza obdarzono obywatelstwem honorowem rodzinnego miasta Radymna w Galicyi, za długoletnią pracę piśmien-[illegible]

Odczyty. Komitet damski uzyskał pozwolenie na odczyty dla zasilenia funduszów Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Udział wezmą: pp. Władysław Umiński, Edmund Jankowski, Adolf Dygasiński, Klemens Szaniawski (Junosza), Władysław Reymont, Ksawery Sporzyński, dr. Zofia Yotejko, dr. Witold Szumlański, dr. Maksymilian Flaum, Maksymilian Heilpern, inż. Feliks Rycerski i dentystka p. Zofia Borelczowa. P. General-Gubernator pozwolił także na urządzenie czytelni niedzielnych dla dzieci, celem zachęcenia ich do dobrego obchodzenia się ze zwierzętami.

— *Warsz. Dn.* zapewnia, iż p. Paskolski tworzy w Warszawie Towarzystwo odczytów, przystępnych dla warstw robotniczych, na wzór takich instytucyj istniejących w Petersburgu, Moskwie i innych miastach.

Wystawy i zjazdy. D. 5 lutego w Petersburgu będzie zwołany zjazd inżenierów-hydrotechników.

— Zjazd profesyonalistów w Moskwie uchwalił podjęcie starań o zwołanie r. 1899 w Rosyi międzynarodowego kongresu wykształcenia zawodowego tudzież otwarcie wystawy powszechnej. Trzeci zjazd odbędzie się w Odesie.

— We Lwowie odbył się zjazd prymaryuszów prowincyonalnych szpitali galicyjskich. Uchwalono wnieść do sejmu petycyę, domagającą się: 1) nadania szpitalom publicznym charakteru zakładów leczniczych samoistnych; 2) przyznania lekarzom, kierownikom płacy w stosunku do liczby łóżek, a mianowicie wyżej lub niżej 100 łóżek w tych zakładach dla I-ej klasy w wysokości 1,200 złr., dla II-ej — 1,000 złr., dla sekundaryuszów 60% owej płacy; 3) lekarzom i ich zastępcom przyznać trzy pięciolecia w wysokości 20% od pobieranej pensyi i ograniczyć ich lata służby do 30 lat; 4) względem wdów i sierot zastosować ustawę dla urzędników krajowych; 5) wkładki na fundusz emerytalny mają lekarze szpitalni ponosić sami; 6) utworzyć dla nich osobny statut, z zastrzeżeniem prawa awansu i przenoszenia z posady na posadę.

Zdrowie publiczne. R. 1895 w warszawskim zakładzie szczepienia wścieklizny (dawniej dr. Bujwida, obecnie dr. Palmirskiego), leczyło się 665 osób. Największa liczba pokąsanych przez wściekłe zwierzęta domowe przypada na maj (71), czerwiec (78) i lipiec (86), następnie idą: kwiecień (51), grudzień (52), wrzesień (57), październik (60) i sierpień (69). Najmniej w styczniu (29), marcu (32), listopadzie (38) i lutym (42). W ciągu roku z leczonych osób zmarła tylko jedna.

Wypadki. W kopalni Orłowskiej (pow. Bachmuckim) 11-tu robotników udusił gaz węglowy.

— W Jekaterynosławiu spalił się teatr podczas przedstawienia. Zginęło około 50 osób.

Odpowiedzi Redakcyi.

E. Gramatyka Maleckiego lub Bema „Jak mówić po polsku."

Panu K. W. w Dąbrowie. Komplet nigdy nie był osobno wydany, ale wkrótce wyjdzie wraz z innemi pismami tego autora. Istnieje tylko zbiorek utworów jednoaktowych — czy to przysłać?

Sprostowanie. W artykule „Z wycieczki" (nr. 3 *Prawdy*) w 6-m wierszu od końca opuszczono po wyrazie *drogi*: „z układaniem i przenoszeniem szyn wraz..."

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 12 Января 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.